

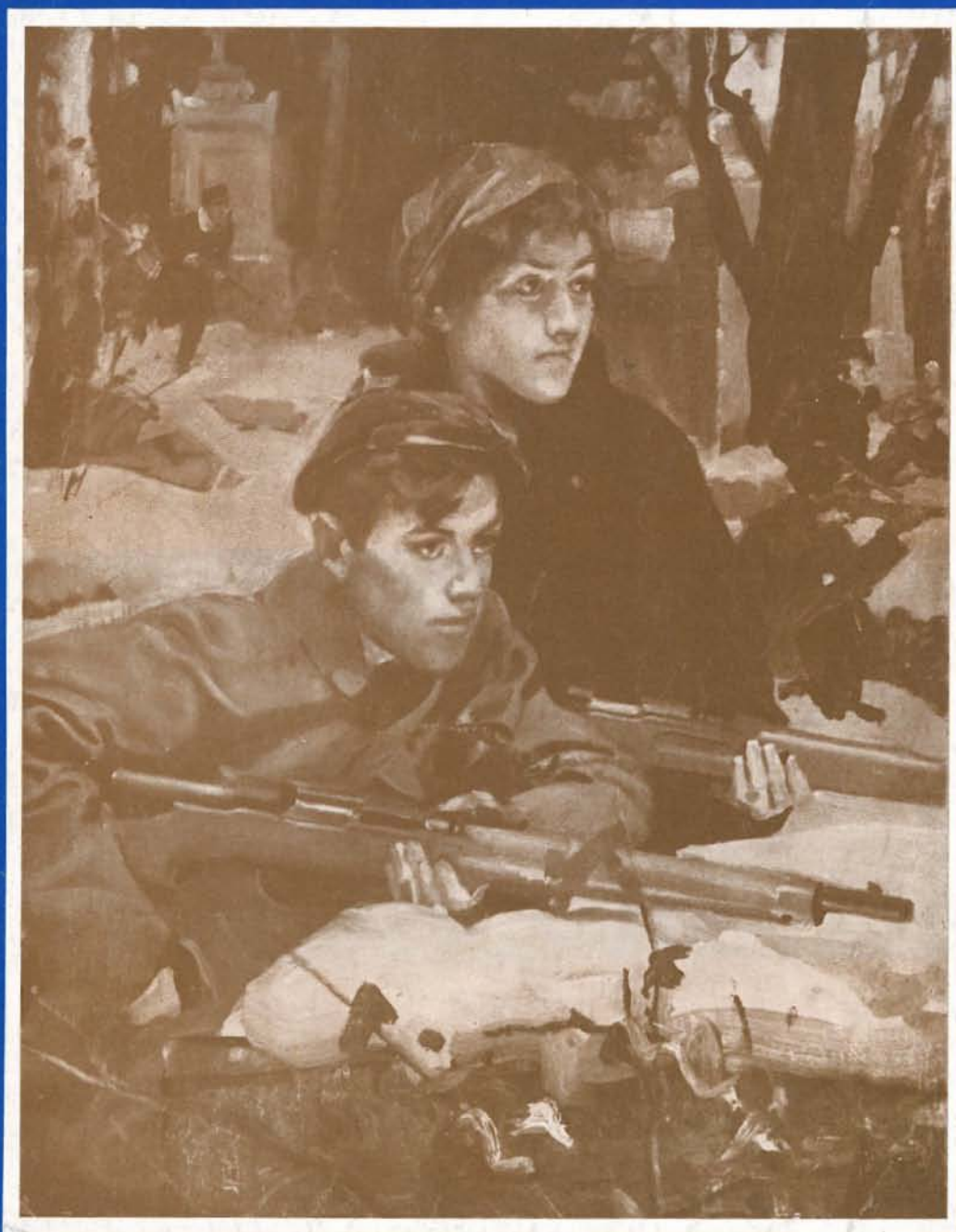


SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

2 (15) 1993

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO – WSCHODNICH • WROCŁAW



DANUTA NESPIAK	
Nasz kresowy rok rocznicowy	1
ZDZISŁAW OJRZYŃSKI	
Jak do tego doszło?	3
JAROSŁAW BUŁAT	
Pierwsze dwa tygodnie walk o Lwów w 1918 r. (fragmenty dziennika)	4
Z dokumentów dotyczących Listopadowej Obrony Lwowa w 1918 r.	8
STANISŁAW KROCZAK	
Podlwowska wieś Sokolniki w 1918 r.	10
O wydarzeniach z Listopadowej Obrony Lwowa mówili:	11
List do Pana Prezydenta RP	13
RYSZARD SZAWŁOWSKI	
Elementy polityki wschodniej III Rzeczypospolitej	14
Komitet Obrony Ziemi Wschodnich	17
ALEKSANDER KORMAN	
Osobowe i materialne straty Polaków wynikłe z działalności terrorystów OUN-UPA.	18
HENRYK KOMAŃSKI	
Zagłada polskiej wsi Jeziorany Szlacheckie na Wołyniu, parafia Nieświcz, gm. Czaruków, pow. Łuck (19-23 czerwca 1943 r.)	21
DANUTA ŚLIWIŃSKA	
Mecenas Tateusz Piziewicz — 98-letni obrońca Lwowa	28
ZDZISŁAW OJRZYŃSKI	
Wizyta	29
Kolejne szkoły im. Orłów Lwowskich — w Nowym Sączu i w Przemyśle	30
BOLESŁAW OPAŁEK	
Rehabilitacja kpt. Witolda Szredzkiego vel Orlickiego ps. „Sulima”	30
DANUTA NESPIAK	
Alfabet lwowski Jerzego Janickiego	31
JAN KĘDZIERSKI	
Sport w książce Jerzego Janickiego „Cały Lwów na mój głów” . . .	32
Działalność Sekcji Współpracy z Polakami na Wschodzie przy Zarządzie Głównym TML i KPW we Wrocławiu w okresie 1992–1993.	33
Komunikaty, apele, podziękowania	34
Poszukiwania	35
Z żałobnej karty	35

Redaguje Kolegium w składzie: Andrzej Chłipański, Wiesława Jeleńska-Hombek, Danuta Nespiak, Zdzisław Ojrzyński, Jan Ziembicki

Redakcja: Zdzisław Ojrzyński — redaktor naczelny, Danuta Nespiak, Maria Iżewska — redaktor prowadzący.

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Wrocław, Rynek-Ratusz 7/9 tel. 44-88-93.

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław
Nr 93549-10012-132-3 — mgr Danuta Tabińska-Juhasz

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

OD REDAKCJI

Nasz kresowy rok rocznicowy

Listopad — miesiąc dat, które poważnie zaważyły na szali naszych dziejów. Jedenastego listopada po 123 latach zaświtała upragniona wolność opłacona wysoko daniną krwi, przelewana w zrywach orężnych, na szubienicach czy też w katorżniczej pracy na Sybirze.

Są również i daty, które ściśle związały się z Miastem położonym na szlaku między Wschodem a Zachodem, będącym przez stulecia ośrodkiem polskiej kultury, nauki i sztuki, będącym bastionem Rzeczypospolitej — ze Lwowem.

Gdyby środki społecznego przekazu w Polsce, a zwłaszcza TV zechciały (czy mogły?) w sposób zgodny z prawdą przypomnieć wagę rocznic, które powinny być publicznie obchodzone w 1993 r. Gdyby ... Zwłaszcza tych rocznic związanych z dziejami ziem kresowych II RP i losami obywateli polskich urodzonych na „prawo” od Bugu. Formalnych przeszkód nie ma — nie ma cenzury, deklaruje się szacunek dla pluralizmu, tak mocno eksponowany jako walor pewnej partii (niechętnie ustosunkowanej do środowisk kresowych), jako cnota polityczna jej liderów, prezentujących swoje oblicza i intelektualną narrację w państwowej TV. Ale środowiska kresowe w Polsce w swojej działalności społecznej, ujętej w struktury zarejestrowanych oficjalnie stowarzyszeń mają drogę do mass mediów, szczególnie najpotężniejszego — telewizji — pilnie strzeżoną, a nawet zamkniętą.

Może jednak państwowa TV w Polsce zechce w sposób nie umniejszający naszej godności narodowej odnotować, że w tym roku mija 75 rocznica Obrony Lwowa. Nie będę tu opisywała walk o to miasto, najwierniejsze Polsce w ciągu jej dziejów, nie zhańbione zdradą, dające Rzeczypospolitej całe zastępy wspaniałych obywateli, nie tylko „genetycznych” Polaków, ale Polaków z ducha i wyboru służących Jej walorami umysłu, serca i charakteru.

Czy w kontekście tego co się stało w Jalcie ofiara życia setek Obrońców Lwowa z 1918 r. jest zupełnie bezużyteczna? Czy należało za wszelką cenę nie opuszczać tego miasta, trwać niezłomnie i strzec jego dziedzictwa duchowego i materialnego, przeciwstawiać się wszelkimi siłami tzw. repatriacji? Trwać niezłomnie, jak nieodżałowanej pamięci profesor Mieczysław Gębarowicz? Czy to było możliwe w okresie drugiej okupacji sowieckiej Lwowa, po strasznych doświadczeniach więzień Łackiego, Brygidek, Zamarstynowa, po wywozach na Sybir, ucisku i nędzy? Pytanie prawie absurdalne — jaki byłby status Lwowa gdybyśmy go wszyscy prawie nie opuścili. Czy stać by nas było na taką obronę Lwowa w 1945 r.? pozostawając nadal w swoich domach i mieszkaniach, do których dokwaterowywano nam rodziny radzieckie z Moskwy, Charkowa czy Władywostoku? Marzę, żeby usłyszeć dyskusję na ten temat w TV i radiu.

Druga bolesna rocznica, która winna być uczczona poważną sesją naukową to 50 lat, jakie upływają w tym roku od największej rozmiarami tragedii Wołynia i Kresów Południowo-Wschodnich, gdzie zastosowano metodę „czystek etnicznych” wobec Polaków przez UPA. Film dokumentalny też byłby wskazany, żyją bowiem świadkowie, znajdą się też i zdjęcia. Tylko gdyby w tej wołyńskiej i kresowej tragedii TV zechciała zaprezentować punkt widzenia podobny jak w filmie dokumentalnym autorstwa Jadwigi Nowakowskiej, pt *Akcja Wisła*, to lepiej, żeby takiej projekcji nie było. Po tamtym filmie autorka otrzymała sporo listów, myślę, że przede wszystkim krytycznych. Że tak było świadczy fakt powoływania się przez nią na współpracę przy realizacji filmu konsultanta historyka. Zdaje się, że konsultantem tym była prof. Krystyna Kersten, która recenzując film przedstawiła takie m.in. opinie: „Zdaję sobie sprawę, że dokument ten, mimo ogromnej powściągliwości autorki, uderza w upowszechnione w Polsce stereotypy postrzegania Polaków, Ukraińców i polsko-ukraińskich konfliktów. U części widzów może wzbudzić typowe reakcje obronne, znajdujące wyraz w przypisywaniu winy bądź wyłącznie Ukraińcom, bądź Ukraińcom i komunistom, a także w pomniejszaniu martyrologii Ukraińców przez eksponowanie cierpień, jakich wówczas doznawali Polacy. Film dokumentalny nie może być wykładem historycznym”.

Dziwna opinia w ustach historyka. A czymże wobec tego ma być taki film? Zestawem wybiórczo prezentowanych faktów? Czy raczej (co dla historyka powinno być obowiązujące) prezentacją obiektywnie przedstawionych zarówno źródeł jak i relacji, które oczywiście będą wykładem historii. I jeszcze jedno zdumiewa w tej recenzji — dlaczego mowa jest o martyrologii Ukraińców, a tylko o cierpieniu Polaków?

Rocznica trzecia, też tragiczna, dotyczy likwidacji lwowskiego getta, której ofiarą padło w sumie 100 tysięcy Żydów lwowskich. Akcja pod dowództwem gen. SS Fritza Katzmanna zakończyła się 30 czerwca 1943 r., ale długo jeszcze wygaszały w gettcie pożary. Wśród ruin i w piwnicach kryło się wiele zdziczałych i obłąkanych wskutek tragedii ofiar, gubernator Frank natomiast wśród owacji zgromadzonych w Krakowie członków NSDAP powiedział: „wywędrowali od nas”. Nie dodał gdzie — do Bełżca, Piasków Janowskich, Lasu Lesienieckiego, do getta — na śmierć. Lwowscy Żydzi — krawcy i sklepikarze, biedota zamarstynowska, inteligencja — lekarze i adwokaci z Sykstuskiej, z Łozińskiego.

Z rocznic, które dotyczą tylko indywidualnych osób, nie całych zbiorowości, 4 lipca 1933 r. minęło już 50 lat od tragicznej śmierci generała Władysława Sikorskiego, który w okresie 1925–1928 był dowódcą lwowskiego okręgu wojskowego i który prowadził do 1943 r. trudną walkę dyplomatyczną z ZSRR o Kresy Wschodnie II RP.

Inne pomniejsze rocznice chciałabym przypomnieć byśmy się zadumali nad tym, jakiego to formatu obywatele związani byli z Kresami. 105 lat temu urodził się w Tarnopolu gen. Franciszek Kleeberg, dowódca grupy operacyjnej „Polesie”, która stoczyła 5 października 1939 r. ostatnią bitwę w obronie Polski. 180 lat temu zmarł w Dubnie Tadeusz Czacki, historyk, działacz oświatowy i gospodarczy, założyciel Liceum Krzemienieckiego. 160 lat temu urodził się w Krzemieńcu Aleksander Czekanowski, geograf i geolog, zesłany na Syberię. Prowadził tam badania w rejonie Bajkału i dorzecza Amuru. Jego imię nosi pasmo gór we wschodniej Syberii. 160 lat temu w Adamarynie koło Mińska urodził się Benedykt Dybowski, wielki polski zoolog, profesor Uniwersytetu Lwowskiego zesłany na Syberię, znakomity badacz fauny Bajkału, Kamczytki i Wysp Komandorskich. Na jego grobie na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, gdzie spoczywa przy kwaterze Powstańców z 1863 r. jeszcze do niedawna znajdowała się tabliczka w języku ukraińskim (jest już polska). 155 lat temu zmarł w Wilnie Jędrzej Śniadecki, chemik, biolog, filozof i lekarz, twórca polskiego słownictwa chemicznego. 75 lat temu zmarł we Lwowie Wojciech Kętrzyński — historyk, dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, znakomity znawca i komentator źródeł do historii Słowiańszczyzny. 50 lat temu zginął zamordowany przez nacjonalistę ukraińskiego we Lwowie zaledwie 37 letni prof. dr Bolesław Jałowy — znakomity histopatolog. Kondukt pogrzebowy w smutnym październiku 1943 r. wyprowadził z gmachu Anatomii Akademii Weterynaryjnej przy ul. Piekarskiej Metropolita lwowski ks. arcybiskup Bolesław Twardowski.

Na koniec odnotowuję rocznice pogodne — pierwsza 200-lecie urodzin Aleksandra Fredry. Kiedyś bardzo dawno temu we Lwowie na Chorążczyźnie stał dworek tego największego komediopisarza polskiego, żołnierza i ziemianina, honorowego obywatela miasta Semper Fidelis. Spoczywać miałeś spokojnie panie hrabio w Rudkach ... Siedzisz sobie teraz spokojnie na rynku wrocławskim, bo Twój pomnik „ekspatriowali” z placu Akademickiego we Lwowie. Gdybyś się wcielił w jakiegoś Lwowianina we Wrocławiu i zechciał go natchnąć do pisania komedii. Tematów w bród, choćby tych związanych z wyborami. My Lwowiacy mieliśmy przecież kapitalne poczucie humoru.

Danuta Nespiak

HISTORIA

75 LAT OD LISTOPADOWEJ OBRONY MIASTA SEMPER FIDELIS



Zosia Treszkówna, córka Adama Treszki, wieloletniego prezesa Koła Lwowian w Londynie, recytuje wiersze patriotyczne na akademii rocznicowej w Ognisku Polskim w Londynie

ZDZISŁAW OJRZYŃSKI

Jak do tego doszło?

Wspominając wydarzenia sprzed 75 laty – Listopadową Obronę Lwowa – mamy przede wszystkim przed oczyma pełen miłości i poświęcenia dla ukochanego Miasta – zryw bojowy Lwowskich Orląt.

Sytuacja wojenna i polityczna państw centralnych była beznadziejna, toteż i Austria, i Niemcy próbowały ratować to, co tylko było możliwe. Ponieważ zdawali sobie sprawę, że powstanie niepodległe państwo polskie sprzymierzone przede wszystkim z Francją, powstał plan mający poważnie zaszkodzić powstającej Polsce przez stworzenie „Niepodległej Republiki Ukrainy Zachodniej”, obejmującej tereny dawnej Rzeczypospolitej ze Lwowem, jako stolicą państwa. Jednocześnie zostałyby tym samym stworzone nowe wschodnie obszary wpływów niemieckich i austriackich. Dodatkowo, Austria miała cichą nadzieję na obsadzenie „ukraińskiego tronu” jednym z Habsburgów, mianowicie Wilhelmem, zwanym Wasylem Wyszywanym.

Przywódcom ukraińskim niemiecko-austriackie plany były bardzo na rękę. Po ich myśli doszło do

zbrojnego obsadzenia Lwowa z 31 października na 1 listopada 1918 r. przez oddziały austriackie złożone z Ukraińców. Doszło do walk, których epilogiem było uwolnienie Lwowa od Ukraińców.

Chciałbym tutaj przedstawić kilka mniej może znanych faktów, które przyczyniły się do wytworzenia złych stosunków między Ukraińcami a Polakami i które narastając po wielu latach doprowadziły do zbrojnego konfliktu.

Zwykle mówi się tylko o austriackiej polityce *divide et impera* i jej głównej roli w jątrzeniu stosunków między Polakami a Rusinami, czyli Ukraińcami, ale wydaje się, że byłoby to znaczne uproszczenie, jeśli chodzi o wyjaśnienie tego problemu. Okazuje się bowiem, że grube „nici” wiązały Rusinów z Niemcami od bardzo wielu lat (zresztą te „nici” można znaleźć i w późniejszych okresach!).

Wiadomo, że na przełomie XX w. warunki życia Polaków w poszczególnych zaborach kształtowały się niejednakowo. Największą swobodą cieszyli się Polacy w zaborze austriackim. Mieli dobrze zorganizowane polskie szkolnictwo, szczególnie we Lwowie, gdzie nawet językiem wykładowym na Lwowskim Uniwersytecie był polski. W administracji, a nawet w sądownictwie używany był język polski. Te stosunkowo znośne warunki zaczęły zakłócać dochodzące do głosu siły ukraińskie.

W zaborze pruskim Polacy stanowili przedmiot szykan i prześladowań – słynny wóz Drzymały i dzieci wrzesińskie były tego przykładem. Polityka pruskiego kanclerza Bismarcka w stosunku do Polaków uzgodniona z Rosją w czasie jego długiego oficjalnego pobytu w Petersburgu w 1859 r. następnie powstanie w 1894 r. „związku do pielęgnowania niemczyzny” (Verein zur Pflege des Deutschtums – Deutscher Ostmarkenverein), słynnej Hakaty, były narzędziem niszczenia polskości, zwłaszcza w poznańskim. Obłudne, ale oficjalne usprawiedliwienie takiego postępowania w pruskim parlamencie było oparte na przykładach „iż Polacy w Galicji nie umieją należycie obchodzić się z Rusinami” – w efekcie dochodziło do coraz częstszych starć nacji ukraińskiej z polską. Ta opinia lansowana nie tylko w Niemczech wydaje się początkiem inicjowania pretensji ukraińskich popieranych przez Niemcy. Ówczesna prasa niemiecka szeroko rozpisywała się o najdrobniejszych „krzywdach” wyrządzanych Rusinom przez Polaków, unikała zaś podawania informacji o sytuacjach, w których Polacy byli ofiarami, jak np. skrytobójcze morderstwo Andrzeja hr. Potockiego, wielokrotne napaści na Lwowski Uniwersytet i profesorów czy też o innych incydentach.

Co kryło się w takim razie za takim trybem postępowania Niemców?

W 1913 r. Franciszek Salezy Krysiak ogłosił ciekawe dokumenty, do których dotarł w Ostmarken-

verein w Berlinie. Były to listy od dra Stefana Barana, od byłego profesora Lwowskiej Politechniki A. Założckiego oraz od grekokatolickiego księdza Hanyckija z Rudna pod Lwowem, przyjaciela Heinricha v. Tidemanna z Jeziorek koło Poznania, jednego z trzech założycieli Deutscher Ostmarkenverein (Hakaty). Z listów tych wynikało, że Rusini szukali poparcia i pomocy u naszego i największego dla Słowian wroga — u Niemców, dla realizacji swych planów mających pozbyć przyszłą Polskę Małopolski Wschodniej, czyli ówczesnej Galicji, Podlasia i Chełmszczyzny. Jednocześnie Rusini obiecywali otworzyć dla Niemiec „bramę na Wschód”.

Zawarty 9 lutego 1918 r. traktat brzeski między Niemcami a Ukrainą Republika Ludową potwierdził w pełni ukraińskie plany i dążenia.

Trzeba tu wyjaśnić, że Stefan Baran był w tym czasie sekretarzem generalnym Ukraińskiej Rady Narodowej, a od 1 listopada 1918 r., tj. od dnia zamachu we Lwowie pełnił funkcję dyrektora ukraińskiej policji.

A więc nie tylko Austria „maczała palce” w rodmuchiowaniu konfliktów, które ostatecznie doprowadziły do listopadowego zamachu. Tak więc grunt do opanowania Lwowa i reszty Małopolski Wschodniej przez Ukraińców był przygotowywany bardzo długo i starannie, i to przez „dobrych fachowców”.

Inną sprawą jest opanowanie Lwowa w noc 1 listopada 1918 r., przez Ukraińców. Sprzyjały temu następujące okoliczności:

- powstała w Krakowie Polska Komisja Likwidacyjna, winna była swą działalność, jaką było likwidowanie administracji austriackiej i przejmowanie władzy, rozpocząć od Lwowa, a nie od Krakowa, któremu przecież nikt nie mógł zagrozić. Jej przyjazd planowany na 4 listopada był stanowczo spóźniony;

- polskie społeczeństwo we Lwowie bagatelizowało przygotowania Ukraińców, którym efektywnie pomagała cywilna i wojskowa administracja austriacko-niemiecka. Wyrażało się to w koncentracji ukraińskich sił wojskowych we Lwowie: 15 pułku piechoty z Tarnopola, 19 pułku obrony krajowej, batalionu z 41 pułku z Czerniowiec i batalionu strzelców z 30 pułku piechoty. Tu trzeba zaznaczyć, że Ukraińcy oczyścili z Polaków wszystkie jednostki wojskowe, nawet z żandarmerii. Austriacy przekazali ponadto

Ukraińcom magazyny broni, amunicji i żywności, zaś austriacki dyrektor policji 600 podległych mu policjantów-Ukraińców. Przy okazji tenże pan wraz z generałem Pfeffferem (komendantem miasta) dla większego zamieszania zwolnili z więzienia przy ul. Bato-rego 280 morderców oraz trudną do określenia liczbę kryminalistów z więzienia w Brygidkach;

- jednocześnie przy odegraniu komedii „internowania władz austriackich przez Ukraińców”, a to: namiestnika hr. Huyna, dyrektora policji Reinlaendera i komendanta miasta gen. Pfefffera, ich władzę i uprawnienia oficjalnie przekazano w ręce Ukraińców. (Huyn przekazał namiestnictwo Decykiewiczowi, ten zaś z kolei ukraińskiemu prezydentowi ministrów — Kości Lewickiemu; władzę nad policją przekazał Reinlaender sekretarzowi Stefanowi Baranowi. Wspomniany wyżej gen. Pfefffer — główny sprawca zamachu, Niemiec, członek ukraińskiego obozu „Reichspost” — przekazał swą władzę również do dyspozycji Kości Lewickiego);

- zaniedbania polskiego społeczeństwa, jeśli chodzi o czujne obserwowanie sytuacji politycznej we Lwowie, można do pewnego stopnia przypisać Warszawie. Organizujące się wówczas władze dyskutowały „nad wymiarem mandatów dla stronnictw politycznych w przyszłym parlamencie”, zamiast zwrócić uwagę na kształtowanie się państwa i jego granic. (Piłsudski był wtedy internowany w Magdeburgu.)

Gdy padły strzały i połała się krew doszły jeszcze interesujące głosy z zagranicy, mające ważne znaczenie w politycznym oświeceniu konfliktu. Oto w urzędowej korespondencji między amerykańskim Sekretarzem Stanu Robertem Lansingiem a Dmowskim doszło do prawnego uznania walczących we Lwowie polskich żołnierzy jako członków armii sprzymierzonych.

I jeszcze jedna ciekawostka: kijowskie „Widrozdżenje” napisało „nie jest prawdą o radości jaka u nas panuje z powodu zamachu we Lwowie — uważamy, że to psuje Ukraińcom opinię!”

Oczywiście nie była to jedyna droga, jaką Ukraińcy starali się dojść do własnego państwa, trzeba jednak zaznaczyć, że nasze sprawy nie powinny przechodzić przez niemieckie ręce.

JAROSŁAW BUŁAT

Pierwsze dwa tygodnie walk o Lwów w 1918 r. (fragmenty dziennika)

W lwowskim dzienniku „Wiek Nowy”, z listopada 1921 r. pojawiła się seria artykułów przedstawiająca część pamiętnika pisanego w latach 1918 — 1919 przez mojego brata Włodzimierza.

Z pamiętnika kresowego żołnierzyka

Chłopię 16-letnie, student gimnazjalny, harcerz, lwowiak, obrońca Lwowa, obrońca Kresów, żołnierz WP Włodzimierz Bułat, syn tyt. komisarza magistratu, zginął w bitwie nad Dniestrem, pod Niżniowem w 1919 r., pozostawiając pamiętnik pisany ręką i duszą

chłopięcia, zawierający jednak tyle szczegółów dotyczących przygotowania się do zbrojnego wystąpienia o wolność Ojczyzny, ogólnego organizowania się i spajania się, że słowa te są godne publicznego ogłoszenia. Pamiętnik chłopięcia tego, tchnący dużą ofiarnością dla Ojczyzny (oddany do mojej dyspozycji), jest dalszym dowodem, że w grodzie „Orląt” tkwił i tkwi duch, potężna siła i wola obrony naszego grodu dla wieczystej przynależności do Rzeczypospolitej. Skromne rozmiary tego pamiętnika, dotyczące obrony Lwowa, podajemy niżej.

Z. Zygmuntowicz

W rodzinie było nas siedmioro rodzeństwa, po wczesnej śmierci jednego z braci w omawianym czasie żyło nas sześciu. Włodzimierz, urodzony 8 stycznia 1902 r. był najstarszy, zwaliśmy go Dziunkiem lub Dziuniem. Ja — rocznik 1904 — byłem drugi pod względem starszeństwa. Ojciec Jan był urzędnikiem w lwowskim magistracie (urzędzie miejskim), pracował też z dużym zaangażowaniem społecznie, matka Maria (z domu Majer) zajmowała się wychowaniem dzieci i gospodarstwem domowym.

Dziunio wychowany w domu i w szkole w gorącej miłości dla Ojczyzny myślał wiele o niej i pragnął jej niepodległości. Z zainteresowaniem śledził przebieg toczącej się wojny światowej, zwłaszcza zaś wydarzenia mające wpływ na losy przyszłej wolnej Polski. Z myśli powstawały czyny, toteż mając ledwie 16 lat, podjął konspiracyjną działalność niepodległościową, wstąpił do POW (Polskiej Organizacji Wojskowej) i brał udział w obronie Lwowa i w całej wojnie polsko-ukraińskiej niemal do jej zakończenia. Zginął pełniąc służbę patrolową na moście nad Dniestrem pod Niżniowem (koło Stanisławowa) w dniu 14 czerwca 1919 r. Został pochowany w Niżniowie i po kilku latach ekshumowany spoczął na cmentarzu Obrońców Lwowa, w mogile 761, kw. XI. Wiernie spełnił przyrzeczenie skierowane do swego przyjaciela Staszka D., pisząc: „Przyjacielu mój kochany, przyjmij tę ofiarę, poznaj serce, poznaj duszę tego, co miał wiarę w lepszą przyszłość swych rodaków i swojej Ojczyzny, dla której był on gotów ponieść śmierć lub blizny”. Poniósł śmierć! Wzmianka o Włodzimierzu znalazła się w książce-albumie Stanisława S. Nicieja *Cmentarz Obrońców Lwowa*.

Nadszedł rok 1918, rok wielkiego przełomu w trwającej od kilku lat wojnie, zbliżała się klęska Austro-Węgier i Niemiec, wizja odzyskania niepodległości nabierała realnych kształtów. Zanim to jednak nastąpiło, zanim doszło do ostatecznej rozprawy z zaborcami, nastąpiły szczególnie dramatyczne wydarzenia. W lutym 1918 r. Austro-Węgry i Niemcy zawarły traktat pokojowy z Ukraińską Republiką Ludową, traktat uzupełniony w marcu (3 III) układem z Rosją Radziecką, w którym m.in. wyraziły zgodę na odstąpienie Ukrainie polskiej ziemi chełmińskiej i Podlasia. Traktat ten, godzący w podstawowe interesy Polski, nie mógł pozostać bez sprzeciwu polskiej społeczności, toteż w całym kraju odbywały się liczne manifestacje, pochody protestacyjne, zebrania i wiece, także we Lwowie. W lutym ogromny pochód złożony z ludźmi w różnym wieku, głównie z młodzieży robotniczej, szkolnej i studenckiej, przesuwiał się ulicą Batorego ku Pańskiej (później nazwanej Piłsudskiego). Brałem udział w tym pochodzie wraz z kilkoma kolegami. Gdy trzon kolumny manifestujących znalazł się koło zbiegu ulic Batorego i Kamiennej (później Kubali) z okien wysokiego budynku w narożniku z ulicą Bourlarda oddano strzały w kierunku manifestujących. Niewątpliwie strzelali żołnierze niemieccy kwaterujący w tym budynku. Strzały były tragiczne w skutkach, zginął wówczas kilkunastoletni student gimnazjalny — Czekas, byli też ranni.

Wypadki te zaważyły ostatecznie na podjęciu przez Dziunka określonych działań. Już w lutym 1918 r. założył on początkowo małą organizację złożoną z bliskich mu przyjaciół i kolegów, przeważnie rówieśników, od początku z zamiarem włączenia jej do POW. Pamiętam kilka nazwisk z tej grupy: Stanisław Dawidek, Jan Gawroński, Diener. Wkrótce i mnie włączono do organizacji z pseudonimem „Sowa”, a także moich kolegów szkolnych — Mariana Pitułkę i Zygmunta Szubelaka. Obaj zginęli — Pitułko 21 XI w boju o Cytadelę, Szubelak w nieszczęśliwym wypadku z bronią. Poległy w obronie Lwowa Pitułko spoczął na cmentarzu Obrońców Lwowa w mogile 46, kw. II.

Do czasu włączenia „Dziunkowej” organizacji do POW zbiórki szkoleniowe i organizacyjne odbywały się w naszym mieszkaniu w domu pod nr 8 czy 10 (nie pamiętam numeru) ulicy Głowińskiego. Później, gdy weszliśmy w skład POW, grupa nasza w dość już rozbudowanym składzie spotykała się w zakonspirowanym lokalu przy ulicy Krzywej (numeru też nie pamiętam, może 2 lub 4), krótkiej wąskiej uliczce łączącej plac Halicki z zaułkiem na ulicy Akademickiej. Tam odbywały się zebrania szkoleniowe z musztry, ochodzenia się z bronią itp.

Dziunek rozpoczął swe wspomnienia w formie pamiętnika, później zaczął prowadzić dziennik. Fragmenty wspomnień brata podaję bez żadnych przeróbek, tak jak je pisał, więc z pewnymi błędami stylistycznymi i innymi, popełnianymi w polowych warunkach.

Dziennik Włodzimierza

Piątek, 1 listopada — Rano kilku z nas wyruszyło na Dworzec z karabinami i tu złączyło się z sierżantem Novim (z Legionów). Dworzec już jednak zajmowali Ukraińcy, ustawiając trzy karabiny maszynowe. Teraz jasne się stało, że Ukraińcy podstępnie Lwów zajęli. Z tego powodu karabiny przepadły i my wróciliśmy do Domu Akademickiego, gdzie otrzymałem urlop na pół godziny. Gdy przyszedłem do Domu Akademickiego, oddział stał z karabinami, a mnie wysłano na Dworzec z karabinem. Kręciłem się do południa, ale nie wiedziałem gdzie się udać. A na dworcu tymczasem zaczęli strzelać. Wróciłem więc, po drodze spotkałem kilku z organizacji i z tymi zawróciłem do kościoła Elżbiety, gdzie we wnętrzu po nabożeństwie i modlitwie wybrano 40 ludzi (mnie również) i kazano iść do Domu Technicznego na Issakowicza. Po podziale na cztery sekcje w Domu Technicznym poszedłem z dwoma technikami po karabiny, przy czym pożyczyłem swoją kurtkę, której już nie widziałem nigdy. Wieczorem wysłano sekcję do szkoły Sienkiewicza, kiedyś jednak z legionistami wchodzili na plac kościoła św. Elżbiety, padły na nas pierwsze strzały karabinu maszynowego. Pierwszy ten chrzest — z naszej strony bez odpowiedzi. Po dojściu na plac patrol nasz opuścił legionistów. Aby powrócić, komendant patroli przeprowadził nas drogą okrężną przez parkany, ogród zakonnic św. Teresy z powrotem do Domu Techników, a w nocy miałem służbę warty aż dwa razy.

Sobota, 2 listopada — Rano przeprowadził nas ko-

mendant kasarni drogą na Wulkę do tychże kasarni. Pierwszy szturm, pierwsze strzały gęste. Trochę się bałem, ale mimo to pobiegłem z innymi. Wzięliśmy po kilku strzałach kasarni [koszary — *red.*], biorąc mnóstwo jeńców. Polaków zaraz się uzbroiło, 300 karabinów. Mnóstwo amunicji, przedmiotów wojskowych wzięliśmy. Razem ze zdobyczą na piętnastu wozach wróciliśmy z pierwszego zwycięstwa. Po powrocie wysłano nas na patrol w stronę kościoła św. Elżbiety, po drodze dowiedzieliśmy się o aucie ukraińskim koło Techniki. Komendant nasz, Olszewski, były porucznik rosyjskich saperów, postanowił go zająć. Jednak wskutek większości Ukraińców, nie mogliśmy przeprowadzić ataku i cofnęliśmy się ku ulicy Issakowicza. Ukraińcy tymczasem zrobili atak na Dom Techników przy ul. Issakowicza, wobec czego sekcja dowodzona przez Olszewskiego poszła bronić i ja razem z nimi. Walki trwały u zbiegu ulic Sodowej, Potockiego i Nabelaka. Po godzinie 2 został zawarty rozejm na cztery godziny, później przedłużony do dwunastej w niedzielę. My zostaliśmy ściągnięci.

Niedziela — Rano wysłano pluton pod dowództwem chorążego Wasilewskiego pod kościół Marii Magdaleny. Sekcja, w której byłem, została umieszczona na rogu ulic Potockiego i Leona Sapiehy za budką. Po skończonym zawieszeniu broni sekcja wyłana została na pocztę. Nasza zaś w rezerwie pozostała w Szkole Magdaleny. Tymczasem gwizdały kule i świstały zewsząd w powietrzu. Około godziny 2 lub 3 wysłano Olszewskiego z sekcją naszą pod remizę na pomoc Nowakowi, który walczył z za węglą ze swymi ludźmi przeciw Ukraińcom nacierającym z Pełczyńskiej. Mnie umieszczono na stoku ulicy Kadeckiej ku Obertyńskiej, gdzie strzelając przetrwałem z innymi aż do 11 w nocy kiedy nas wreszcie wycofano z powrotem do Domu Techników. Tu na ulicy Kadeckiej zapoznałem się pierwszy raz ze świetnymi kulami, które Ukraińcy na nas wysyłali. Zmęczony, zostałem ściągnięty do bramy pod numerem 6, gdzie pewni państwo dali nam herbatę i skarpetki do przewinięcia, bo cały byłem złany deszczem. Stąd nas wzięto do Domu Techników.

Poniedziałek — Noc całą spędziliśmy spokojnie w Domu Techników. Rano wysłano naszą sekcję pod dowództwem Olszewskiego do Szkoły Kadeckiej u końca ulicy Stryjskiej. Ustawiono nas wokoło na murach ogrodu, aby bronić Szkoły Kadeckiej od najścia Ukraińców. Ja stałem na pace za murem od strony Parku Kilińskiego. Na drugim piętrze umieszczono kulomiot (karabin maszynowy). Około 2 ruszyliśmy na Park Kilińskiego, zajmując wraz z nim plac wystawowy. Wysłany poprzednio w trójkę na patrol, byłem ostrzeliwany od swoich idących od strony toru wyścigowego. Po zajęciu Parku Kilińskiego główna siła została umieszczona przy wejściu od ulicy Dąbrowskiego do parku, skąd strzelano do następujących Ukraińców. Reszta placówkami wokoło aż do rogatki stryjskiej. Ja z ob. Leitlem stałem u bramy placu wystawowego. Noc nadeszła, ludzi umieszczono na placówkach, potem przyszło do nas dwóch i razem w czterech przepędziliśmy wśród strzelaniny z Cytadeli i Persenkówki całą noc.

Wtorek — Gdy szarżało por. Olszewski przysłał swego zastępcę, a wkrótce przybył sam, kazał nam wycofać się z powodu braku łączności ze Szkołą Kadecką. Ja z jego zastępcą zostałem wysłany dla ściągnięcia placówki pod wieżą wodną i wraz z nią oraz posłańcem Olszewskiego w piątkę cofaliśmy się do Szkoły Kadeckiej.

Środa — Noc przespałem z obywatelem Leitlem, który wraz z por. Olszewskim był w Domu Techników na strychu na żelaznej siatce. Rano wraz z Olszewskim udałem się do Szkoły Kadeckiej. Sekcja Olszewskiego otrzymała rozkaz udania się za rogatkę stryjską, gdzie jako placówka do 10 w nocy przesiedziała spokojnie. Na noc ściągnięto nas do Szkoły Kadeckiej, gdzie zbudowałem z por. Olszewskim i dwoma innymi okop.

Czwartek — Znowu nas dano na rogatkę i jak wczoraj ściągnięto, lecz nieco prędzej, bo o 6 wieczorem. W nocy jednak mieliśmy pełnić na cmentarzu stryjskim służbę. Ja z Leitlem stałem razem, po czym by zabezpieczyć się od kul zbudowaliśmy okop.

Piątek — Wieczorem wysłano nas do Domu Techników, a nad ranem o 2 zbudowano.

Sobota — O 4 wysłano nas z por. Dzieduszyckim na patrol szturmowy dla wzięcia kasarni przy ul. Jabłonowskich, dając nam nieobeznanym granaty ręczne. Do patroli przyłączony został karabin maszynowy. Patrol poprowadził por. Dzieduszycki ulicą Wilejką [? — *J.B.*] ku ulicy Stryjskiej. Ponieważ dopiero szarżało, wzięto nas ze Szkoły Kadeckiej za Ukraińców i zaczęto do nas strzelać. Musieliśmy się cofnąć i inną drogą dojść do Szkoły Kadeckiej, a stąd Parkiem Kilińskiego i placem wystawowym na ul. Ponińskiego i św. Zofii. Patrol jednak spełzną na niczym i po dwunastu godzinach wróciliśmy do Domu Techników, gdzie nas dano do rezerwy.

Niedziela 10 listopada — Rano wysłano nas na pomoc na odcinek „Remiza”. O 11 umieszczono nas na placówkach do godz. 3. Noc w pogotowiu, od 11 do 3 służba na placówkach. Tak więc w dzień i w nocy mieliśmy od 11 do 3 służbę, resztę czasu wolnego w szynku narożnym ul. Kopernika i Pełczyńskiej. Ja stałem za drzewem w ogrodzie św. Łazarza. Ludność wynosiła nam na placówkę wszystko, co mogła: herbatę, chleb, ciasta, jabłka itd.

Poniedziałek — Od 11 do 3 w dzień i w nocy na placówce.

Wtorek — To samo. W ogóle pod Cytadelą nie było żadnych zmian. Tęskno mi tylko za domem bardzo i myślę ciągle o ... [Góra Cytadeli była jednym z głównych ośrodków walk listopadowych, opanowanym i bronionym przez Ukraińców — *J.B.*].

Środa i czwartek — Zmiana zaszła tylko w tym, że artyleria nasza biła na Cytadelę po kilka strzałów, a ukraińska na Kadecką Szkołę i na remizę. Granat rozbił mur domku naprzeciw naszej kwatery przeniesionej z rogu do szynku następnego.

Piątek — Na placówce w nocy kolega Tychowski dostał ataku sercowego i przeniesiono go do szpitala. Rano zmieniono nam karabiny Manlichera na rosyjskie z powodu braku amunicji manlicherowskiej. Aby trochę przejść się, wziąłem przepustkę do godziny 10 na ulicę Listopada [29 Listopada — *J.B.*] i po drodze

kupiłem sobie jabłek za pieniądze, które przy pożegnaniu dostałem od Ojca. Dziś najbardziej tęskniłem za domem.

Sobota — Przepustkę dostałem od 10 do 1 [tj. 13 — J.B.], tak że mogłem być u fryzjera. Podczas mej nieobecności stał się przypadek. Jeden z żołnierzy nabijając broń strzelił i przebił drugiemu brzuch, tak że ten umarł w szpitalu. Po południu, z powodu oczekiwanego ataku ze strony ukraińskiej dla powiększenia sił, zlano trzy zmiany w dwie, dając nam służbę od 5 do 11 przez sześć godzin. Nic jednak nie było i rano mieliśmy z powrotem służbę czterogodzinną od 5 do 9. Zmiana nastąpiła w tym, że odtąd nasza sekcja miała od 5 do 9 rano wieczór służbę na placówce [tj. od 1 do 21 — J.B.].

Niedziela, 17 listopada — Przeszła ze strzałami. Nawet mi się nie zdawało, że to niedziela. W ogóle żyłem bez dnia i daty.

Z powyższych zapisów wynika, że ich autor w omawianym czasie brał udział w działaniach bojowych w rejonach zachodnich i południowo-zachodnich Lwowa. Były to tereny oznaczone jako Odcinek I Obrony Lwowa, obejmujący okolice Parku Kilińskiego, cmentarza Stryjskiego, ulic Kadeckiej, Pełczyńskiej, Obertyńskiej i Stryjskiej, aż po rogatkę tej ulicy i Szkołę Kadecką. Walki na tym terenie toczyły się ze szczególnym nasileniem w omawianych dniach od 13 do 17 listopada. W następnych kilku dniach trwało zawieszenie broni, o czym w dalszych częściach dziennika. Walki zostały wznowione w całym mieście w dniach 20 i 21 listopada. W tym czasie nadeszła z zachodu odsiecz oddziałów WP pod dowództwem ppłk. Tokarzewskiego, dzięki czemu walki o miasto zakończyły się pełnym zwycięstwem, m.in. zdobyciem wzgórza Cytadeli przez oddziały kapitana Monda.

NEMO (HENRYK ZBIERZCHOWSKI)

Trzeci odcinek

Biliście się jak djabli!
Každy z nas to pamięta.
Na ostrzu waszej szabli
krew była niezaschnięta.

Lecz także śmierci brama
Wciąż była wam otwarta,
Hej! Chłopcy Abrahama!
Hej! Kuzynowie czarta!

Padaliście jak kwiaty
Od kosa uderzenia.
Jakie mieliście straty,
Powie Góra Stracenia.

Te czyny się nie prześnią,
Legenda mówi sama,
Jak wyście biegli z pieśnią
Na rozkaz Abrahama.



Wspólne zdjęcie oficerów, podoficerów i szeregowców — listopad 1918 r.

Rząd dolny: harcerze, uczniowie gimnazjalni, czeladnicy ślusarscy, krawieccy, szewscy od lat 13 do 16. Drugi z lewej: uczeń II kl. gimn. Antoni Petrykiewicz l. 13.

Rząd drugi od dołu: 1 — sierżant Strzałkowski, 2 — NN, 3 — por. Sławosz Lubicz Szydlowski, 4 — por. Wierzbowski, 5 — NN, 6 — Krzysztof Obertyński, 7 — rtm dr Roman Abraham, 8 — kpt Zajęczkowski, 9 — NN, 10 — por. Demeter, 11 — por. Hanak, 12 — ppor. Tracz, 13 — NN.

Rząd trzeci od dołu: pierwszy z lewej Jakub Reuter — radca prokuratorii. Wszyscy wymienieni nazwiskami odznaczeni zostali Krzyżami Virtuti Militari



Dowódcy Obrony Lwowa z listopada 1918 r. ustawieni w kolejności od otrzymanych ran — tzw. ustawienie „po ranach”.
Od lewej: 1 — płk Roman Abraham, 2 — gen. Bernard Mond, 3 — płk Mieczysław Boruta-Spiechowicz, 4 — płk Czesław Mączyński.
Zdjęcie wykonane w 1933 r.

Z dokumentów dotyczących Listopadowej Obrony Lwowa w 1918 r.

Odpis (pisownia oryginalna)

Lwów, 5.b.m. godz.pół. do 2 popoł.

Do Wysokiej Ukraińskiej Rady Narodowej na ręce JWP.
L. Cegielskiego i dr. M. Łozińskiego.

Doszło do wiadomości naszej, że po drugiej stronie frontu wielki brak lekarzy, z powodu czego ranni polskiej i ukraińskiej narodowości nie mają należytej opieki. Aby temu zaradzić, prosimy o spowodowanie przejścia linii bojowej dla pp. lekarzy dr. Lesława Węgrzynowskiego, dr. Józefa Aleksiewicza, Stanisława Wojciechowskiego i st.med. Lesława Glużyńskiego.

Za Polski Komitet Narodowy:

Leonard Stahl

Zygmunt Klinger

* * *

odpowiedź

Do wielce Szanownych PP.Leonarda Stahla i Zygmunta Klingera, jako przedstawicieli Światnego Pol. Komitetu Narodowego we Lwowie.

Wodpowiedzi na pismo WSzanownych Panów z dnia 5.listopada br godz.2 popoł. w sprawie pomocy lekarskiej dla rannych po tamtej stronie linii bojowej, Ukraińska Rada Narodowa oświadcza, że ze względu na dostateczną ilość lekarzy i personelu sanitarnego po tej i po tamtej stronie linii bojowej oraz ze względu na przeszkody natury wojskowej nie może zgodzić się na propozycje WSzanownych Panów.

Lwów, dnia 5 XI.1918, godz.3.10 popoł.

Za Ukraińską Radę Narodową
dr Lew Hankiewicz

Podana korespondencja została nawiązana wskutek niedostatecznej opieki lekarskiej nad ludnością polską po ukraińskiej stronie.

Lech Glużyński zamordowany został w 24 roku życia 29 XII 1918 r. w Dawidowie podczas opatrywania rannych. Był adiutantem dra Lesława Węgrzynowskiego, szefa sanitarnego Naczelnej Komendy Obrony.



Ochotnicza Legia Kobiet. W środku siedzi Aleksandra Zagórska, matka Jurka Bitschana

MARIAN HEMAR

My jesteśmy z polskiej Florencji,
Z miasta siedmiu pagórków fiesolskich,
Z miasta muzyki, inteligencji,
I najpiękniejszych kobiet polskich.
Z miasta talentów, ideałów,
Temperamentów i błyskawic
I teatru i gwiazd i zapalów
I tej „panoramy Racławic” —
O, śliczny oleodruk!

My jesteśmy z miasta poezji
Co się u nas rodziła na bruku,
Jakby kamień się zmieniał
W natchnienie,
A natchnienie wsiąkało w kamienie
I pomnikiem
W sercu miasta stoi.

My jesteśmy z tej jedynej Troi,
Z tej jedynej na cały świat,
Którą kiedyś, w śmiertelnej potrzebie
Hektor zdołał przed wrogiem obronić,
A miał wtedy
Piętnaście lat.

A był wtedy w gimnazjalnym mundurku,
W surducinie ulicznego baciara,
A miał wtedy piętnaście lat,
Gdy w kul bzyku i granatów huku
Na kamieniu się urodził,
Na bruku,
I na kamień swą śmiercią się kładł.
Ale miasto obronił swoje,
Ale swoją ocalił Troję.
A miał wtedy piętnaście lat.

Podlwowska wieś Sokolniki (1918 r.)

W odległości 5 km na południe od Lwowa usytuowana była duża wieś Sokolniki z ludnością czysto polską. Wschodni kraniec wsi dochodził do szosy Lwów – Stryj, zachodni podchodził pod Skniłów, południowy graniczył z Nawarią oraz ze wsiami ukraińskimi Sołonką Wielką i Małą. Ludność tuż przed wojną w 1939 r. liczyła około 5 tys. mieszkańców zatrudnionych w rolnictwie, których specjalnością była hodowla bydła. Główny dochód ludności pochodził ze sprzedaży świeżego mleka oraz wyrobu białego, śmietankowego sera, sławnego we Lwowie. W środku wsi wznosił się okazały kościół z plebanią otoczony dużym sadem. Obok zlokalizowana była siedmioklasowa szkoła, dalej budynek urzędu gminnego, w którego pobliżu znajdowały się: obszerny Dom Ludowy z czynną wypożyczalnią książek oraz Dom Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej. Sokolniki posiadały również Ochotniczą Straż Pożarną z własną orkiestrą, Oddział Związku Strzeleckiego oraz Kasę Stefczyka, udzielającą włościanom pożyczek i przyjmującą wkłady oszczędnościowe. Kasę prowadził kierownik szkoły Tadeusz Czarnecki. Nad bezpieczeństwem wsi czuwali komendant wraz z trzema posterunkowymi polskiej policji państwowej.

Życie płynęło na ogół spokojnie, stosownie do pór roku, bardziej ożywione w lecie, zwolnione w zimie. Wielu młodych mężczyzn pracowało we Lwowie w budownictwie.

W każdą niedzielę całe gromady dziewcząt ustrojonych w szaty zbliżone do strojów noszonych w okolicach Rzeszowa spacerowały po wsi. Na strój składały się: gorset z czarnego lub granatowego pluszu wyszywany ręcznie, biała haftowana koszula, fałdowana kwiecista spódnica z białym fartuszkim oraz czarne trzewiki sznurowane do połowy łydki. Stroje męskie noszone były jeszcze około 1920 r. Składały się nań sukmany z białego sukna z wyszywaniem czerwonym sznurkiem bokami, na które w zimie nakładano białe kożuch.

Wieś założono w czasach Władysława Jagiełły. Dokument lokacyjny z podpisem króla przechowywano w aktach parafialnych na plebanii. Nazwa tej królewskiej wsi pochodzi od zajęcia osadników, którzy hodowali sokoły dla królewskiego dworu. Z czasem przeszła na własność książąt Lubomirskich. Dzielili wiernie losy Lwowa, niszczona doszczętnie w czasach najazdów kozacko-tatarskich, ale zawsze odbudowywała się ze zgliszczy.

Sokolniki zostały ostatecznie zniszczone w 1918 r. w okresie walk z Ukraińcami we Lwowie. Wielu młodych ludzi wzięło udział w obronie Lwowa, m.in. mój najstarszy brat Andrzej, który później uczestniczył w wyprawie na Kijów.

Był dzień 11 listopada 1918 r. Miałem wówczas 6 lat. Było nas sześcioro rodzeństwa. W tym dniu rano ojciec zostawił nas z matką i poszedł oglądać niedawno dokupione pole. Najstarsza 18-letnia siostra Marysia poszła do sąsiedniej Nawarii, by w czynnych tam sklepach żydowskich kupić cukier, sól i mydło, gdyż Lwów był odcięty z powodu walk.

Nagle w południe usłyszeliśmy silny wybuch, potem drugi i trzeci, w których wyniku wyleciały szyby z okien. W ciągu godzin pożar ogarnął całe Sokolniki. Z zabudo-

wy wsi ocalało kilkanaście murowanych domów (wieś liczyła wówczas 900 numerów). Był to wynik natarcia Ukraińców na Sokolniki od strony szosy stryjskiej. Schroniliśmy się w kościele, w którym był już tłum modlących się ludzi. Następnego dnia rano odnalazł nas ojciec ukrywający się na polu i powiedział, że Ukraińcy złapali dużą grupę mężczyzn, z której część rozstrzelali, część zaś pognali w kierunku południowym.

Tego dnia ze spalonych Sokolnik Ukraińcy zabrali księdza proboszcza Czyżewskiego, kierownika szkoły Garstmana, i wójta Jana Hubisza, których rozstrzelali przy szosie stryjskiej. Jak się później wyjaśniło, trzy tygodnie przed napadem na Sokolniki księdza odwiedziło dwóch młodych mężczyzn podających się za legionistów, którzy prosili o zorganizowanie we wsi werbunku do Legionów. Ksiądz pomógł w akcji, a wójt przed kościołem ogłosił apel w tej sprawie. Sporo chłopców zgłosiło się na to wezwanie. Już w czasie walk o Lwów mężczyźni ci przywieźli do księdza dwa wozy karabinów i wyrazili zadowolenie, że wieś przygotowuje się do walki. Zabierając księdza Ukraińcy oskarżyli go, że ma ukrytą broń i podpalił plebanię. Była to więc prowokacja.

Po egzekucji ciała księdza sokolniczanie przenieśli do kościoła, gdzie egzekwie odprawił ksiądz wewzwany z Hodowicy. Ludzie gnieździł się po kilkanaście rodzin w ocalałych z pożaru domach i piwnicach, a po wsi jeździły stale patrole ukraińskie. Tuż po Bożym Narodzeniu Ukraińcy wygnali Polaków z Sokolnik. Ruszyliśmy w zimowy wieczór do Maliczkowic. Była to wieś mieszaną polsko-ukraińską. Nie zatrzymaliśmy się tutaj dłużej, gdyż milicja ukraińska wysiedliła nas aż pod Mikołajów do wsi Lublana. Stąd dopiero po klęsce Ukraińców całą rodziną, na piechotę, wróciliśmy do naszych Sokolnik. Przednówek był niezwykle ciężki, ale wieś przystąpiła do odbudowy przy wydatnej pomocy władz wojewódzkich. Otrzymaliśmy przydziały drewna; działała samopomoc sąsiedzka na wielką skalę. W jednym dniu stawał szkielet budynku, obszernego, krytego później blachą lub dachówką. W ciągu niespełna dwóch lat wieś kompletnie odbudowano.

Kapituła Krzyża Obrony Lwowa odznaczyła Sokolniki krzyżem wmurowanym uroczyscie we frontową ścianę szkoły. W pracy społecznej zrodziła się spora grupa ofiarnych działaczy społecznych, w ogóle duży patriotyzm cechował mieszkańców wsi. Każdego roku na wiosnę do poboru jechało wielu chłopców ze śpiewem i harmonią. Po paru latach było już tylu rezerwistów, że gdy arcybiskup lwowski ks. Józef Bilczewski wizytował parafię, na jego spotkanie wyjechała banderia w 80 koni. Dziewięciu sokolniczan uczyło się w lwowskich gimnazjach, a tuż przed wybuchem wojny było 5 oficerów rezerwy.

Swoją placówkę w Sokolnikach miała Armia Krajowa i gdy w 1943 r. Ukraińcy próbowali napaść na wieś drogą ze Skniłowa, otrzymali taką odprawę, że ataków więcej nie ponowili. Wojna tym razem obeszła się ze wsią stosunkowo łagodnie, ale polskich Sokolnik już nie ma. Tak zwana „repatriacja” rozproszyła sokolniczan; moja rodzina mieszka obecnie w okolicach Głogowa.

O wydarzeniach z listopada 1918 r. mówili:

Naczelnny Komendant Obrony Lwowa brygadier Czesław Mączyński — wrzesień 1926

„Nie było oddziału czy oddziału, któryby cofnął się przed wypełnieniem rozkazu, któryby nie trwał na nakazanym posterunku do ostatniego ładunku, do ostatniego żołnierza, do ostatniej krwi kropli... Wszyscy wszak poszli w bój nie z nakazu władzy państwowej — bo takiej nie było — nie przymuszeni organizacją aparatu państwowego dysponującego życiem obywateli częstokroć wbrew ich woli, ale wszyscy spieszyli w szeregi z własnego wewnętrznego popędu, z własnej ochoty, z poczucia własnego wobec Ojczyzny obowiązku... Ofiarność ich na tem większy zasługuje podziw, że poszli do walki w warunkach na ludzki rozum beznadziejnych. Szaleństwem wszak nazywali ludzie rozważni i głęboko po polsku czujący walki we Lwowie rozpoczęte”.

* * *

Ks. Władysław Bandurski, biskup sufragan Lwowski, wrzesień 1926

„Na Wasze mogiły, Orleto moje,
Skladam wspomnieniem tych czuć wyrazy
Wszak jam Was słowem gotował na znoje,
Malując wzniosłych wierzeń drogowskazy

O! niechaj echo naszego pacierza,
Gwiazdy przewodnie polskiego narodu
Widnokrąg chwały nad Wami rozszerza
i błysnie Polsce jutrzrenką od wschodu!

* * *

Kornel Makuszyński, czerwiec 1939

«W listopadzie 1938 roku minęło lat dwadzieścia od tej chwili, kiedy słowo „Lwów” napęczniało krwią i krwią się oblało, kiedy miasto „zawsze wierne” położyło się jak pies na progu Rzeczypospolitej, ostatkiem tchu broniąc każdej jej piędzi, kiedy walczyli ludzie i kiedy walczyły mury, kiedy dzieci, Polską oblakane zmieniły się w bohaterów, kiedy znikąd już nie było nadziei, tylko od Boga. Świat cały zdumiał się tą walką, a wieki wiekom wieść o niej podadzą».

* * *

Prof. dr Stanisław Ostrowski — prezydent m. Lwowa, 15 listopada 1933, późniejszy Prezydent RP na uchodźstwie.

Tak jak tamci, sprzed wielu lat, umieli w obliczu groźnych zawieruch dziejowych, idących od zachodu, wytrwać niezłomnie Rzeczypospolitej, ... tak i bracia nasi, koledzy, przyjaciele kładli się tu, życie oddając, wierność tego grodu krwią dokumentując, tego co sercem gorącym umiłowali, do ostatniej kropli krwi mężnie broniąc. Nie chciano wszystkiego co na tej ziemi i w tem mieście zbudowano i stworzono w ciągu wieków, dla miłości tego nieba, tych pól, tych wzgórz, tych zaułków i ulic, nie chciano tego wydać na pastwę dziejowego przypadku i wątpliwych losów. Dlatego za oręż chwycono, nie by zabijać, ale by bronić swego umiłowania. I choćby wszystkiego chciano nam na tej ziemi odmówić, tego jednak odmówić nam nie mogą, iż mamy prawo ziemię tę kochać i dla tej ziemi umierać. I tak się właśnie stało w owe dni listopadowe.”

General Barthelemy, szef Misji Koalicyjnej 1919 we Lwowie

„Skląniam nisko głowę przed kobietami szlachetnymi i bohaterskimi dziećmi, znoszącymi tyle cierpień i radośnie krew przelewającymi, by głośno stwierdzić, by krzyczeć na cały świat, że chcą do Polski należeć.”

* * *

General Władysław Sikorski, 16 marca 1923

„Uchwała Rady Ambasadorów stanowi uwierśnienie dzieła wskrzeszenia Polski niepodległej... stwierdza fakty dobrze Polakom znane i sercu polskiemu tak drogie bo krwią polską okupione, stwierdza, że polskie Wilno, dwukrotnie wysiłkiem naszego żołnierza wyrwane barbarzyństwu, także i ze stanowiska międzynarodowego należy odtąd na zawsze do Macierzy, stwierdza, że obroniony piersiami własnych synów prastary polski Lwów wraz z Małopolską Wschodnią dzielić będzie z państwem polskim na wieki wieków dolę i rozkwit.”

* * *

Ignacy Paderewski, 1 listopada 1928

„Przez długie miesiące walczyliście nieomal sami, wypełniając uszczuplone szeregi szlachetną, ofiarną młodzieżą, czerpiąc zasilki wśród niewiast i dzieci... Sam widziałem pacholęta z niezagojonymi ranami, sam widziałem pokaleczone małe dziewczątka, gdy przybywały do »Białego Krzyża« po pomoc w lekarskich lub odzieży. Widziałem je i tego widoku nic nie wymaże z mej pamięci. Wątpię czy jest naród na świecie, który taką bohaterską działością mógłby się poszczycić. Nie wiem czy był kiedy w starożytności przykład podobnego u nieletnich poczucia obowiązku. Nie wiem czy w historii jakiegokolwiek narodu znajdzie się chlubniejsza, bardziej wzruszająca karta nad tę, którą ostatnia Lwowa obrona w naszych zapisach dziejach!”.

* * *

Marszałek Francji, Wielkiej Brytanii i Polski Ferdinand Foch, 11 maja 1923 we Lwowie:

„W chwili kiedy wykreślano granice Europy, bledząc się nad pytaniem jakie są granice Polski, Lwów wielkim głosem odpowiedział: Polska jest tutaj!”

* * *

Marszałek Józef Piłsudski, 22 listopada 1920

„Tu codziennie walczyć trzeba było o nadzieję, codziennie o siłę wytrwania... Ludność stawiała się wojskiem, wojsko stawiało się ludnością... I kiedym ja, jako sędzia wojskowy, dający nagrody, odznaczający ludzi, myślał nad kampanią pod Lwowem, to wielkie zasługi waszego miasta ocenilem tak, jak gdybym miał jednego zbiorowego żołnierza, dobrego żołnierza i ozdobiłem Lwów krzyżem orderu »Virtuti Militari«, tak, że wy jesteście jedynym miastem w Polsce, które z mojej ręki, jako naczelnego wodza, za pracę wojenną, za wytrzymałość otrzymało ten order.”

* * *

Z Biura Bezpieczeństwa Narodowego przy Kancelarii Prezydenta RP otrzymaliśmy odpowiedź w sprawie przyjęcia Patronatu Prezydenta nad obchodami 75 rocznicy Obrony Lwowa.



BIURO
BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

przy
KANCELARII PREZYDENTA RP

674/74/93

11-07-93

Warszawa, 9 lipca 1993 r.

Pani Danuta Śliwińska

Sekretarz Generalny Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich

Rynek Ratusz 7/9

50-951 Wrocław

Szanowna Pani,

w odpowiedzi na list dotyczący patronatu Pana Prezydenta nad obchodami 75. rocznicy obrony Lwowa pragnę zasugerować Pani rezygnację z propozycji angażowania osoby Prezydenta RP w te obchody.

Niedawna wizyta Prezydenta Lecha Wałęsy na Ukrainie stanowiła okazję do wyrażenia głębokiego szacunku i uczuciowego przywiązania Pana Prezydenta do Lwowa i byłych wschodnich terenów Rzeczypospolitej. Nie zabrakło w niej czasu m. in. na odwiedzinę cmentarzy i katedr. Zarówno na Ukrainie jak i na Białorusi Pan Prezydent podkreślał, że obecnie najważniejszą sprawą jest działanie na rzecz szczerego zbliżenia i rzeczywistej równoprawnej współpracy Polski z Ukrainą i Białorusią oraz między Polakami a Ukraińcami i Białorusinami.

W imieniu Pana Prezydenta wyrażam przekonanie, że Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w pełni podziela przekonanie o konieczności takiego zaangażowania. Jestem więc pewien, że odniesie się Pani ze zrozumieniem do poglądu o niestosowności przyjęcia patronatu Prezydenta RP nad obchodami lwowskiej rocznicy.

Łączę wyrazy szacunku

Jerzy Milewski

Sekretarz Stanu

LIST OTWARTY DO PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ LECHA WAŁĘSY

Spośród wielu polskich cmentarzy wojennych, rozsianych w kraju i poza jego granicami, Cmentarz Orląt we Lwowie ma dla tożsamości narodowej Polaków znaczenie wyjątkowe. Znaczenie to dokumentuje fakt, że prochy jednego z Obrońców tego miasta, który został pochowany na Cmentarzu Orląt, przeniesione zostały do Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Godność narodowa wymaga żeby podjąć starania i rzeczowe rozmowy o pełną odbudowę barbarzyńsko zniszczonego cmentarza w jego dawnym kształcie tym bardziej, iż objęty on jest ochroną prawną z racji rozszerzonej konwencji genewskiej, ratyfikowanej nawet przez PRL i ZSSR w 1947 roku.

Prawo zachowania i ochrony Cmentarza Orląt zgodne jest też z międzynarodową konwencją o Ochronie Ofiar Wojny z 12 sierpnia 1949 roku, którą podpisała Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka a potwierdzona została 5 listopada 1990 roku uchwałą Lwowskiej Rady Deputowanych Ludowych uznającą Cmentarz Łyczkowski wraz z Cmentarzem Orląt za rezerwat zabytkowy.

Traktat między Rzeczpospolitą Polską a Ukrainą z 18 maja 1992 roku o dobrym sąsiedztwie, przyjaznych stosunkach i współpracy, ratyfikowany przez parlamenty obu państw, w artykule 18 postanawia:

1. Strony zachowają i obejmą ochroną prawną, jak również będą utrzymywać zgodnie z normami prawa międzynarodowego, w tym humanitarnego, oraz zwyczajami narodowymi i religijnymi, wojskowe i cywilne groby, cmentarze i miejsca pochówku znajdujące się obecnie lub w przyszłości odkryte na ich terytoriach, stanowiące przedmiot pamięci i czci obywateli drugiej strony.

Odmowna decyzja Miejskiej Rady Deputowanych Ludowych we Lwowie, dotycząca rekonstrukcji Cmentarza Orląt według stanu z 1939 roku, wydana w przededniu 75 rocznicy Obrony Lwowa nie może być zaskoczeniem dla nikogo, kto poważnie interesuje się sprawami polskimi na Wschodzie. Nie budzi również zdziwienia prawie dwuletnia zwłoka w ogłoszeniu tej decyzji. Władze Lwowa wykorzystywały ten czas na sprawdzenie stopnia zainteresowania władz polskich sprawą odbudowy Cmentarza a w szczególności, czy odbudowa ta będzie przedmiotem interwencji u najwyższych władz Ukrainy. Całkowity brak zainteresowania władz polskich dało asumpt lokalnym władzom do podjęcia odmownej decyzji. Jest dla nas oczywiste, że decyzja ta jest konsekwencją nieustannego i bezkrytycznego akceptowania sposobu prowadzenia polityki wschodniej przez polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych

i elity polityczne kraju, wbrew interesom Polski a także konsekwencją ich obojętnego stosunku do narodowego dziedzictwa i własnej historii. Stosunek ten jest wypadkową braku patriotyzmu z zamiłowaniem do posiadania władzy, pieniędzy i rządowo-parlamentarnego splendoru.

Decyzja Rady Deputowanych Ludowych we Lwowie stwierdza, że propozycje polskie odbudowy Cmentarza nie mogą być przyjęte gdyż „niosą w sobie jednostronny ideologiczny ciężar naświetlający ukraińsko-polskie wojenne wydarzenia 1918 roku”. Deputowanym tym należy więc przypomnieć, że to nie Polacy rozpoczęli 1 listopada 1918 roku „wojenne wydarzenia” i że w planie odbudowy jest również rekonstrukcja katakumb wraz z pomnikami lotników amerykańskich i piechurów francuskich. Czy odbudowa tych pomników ma również „jednostronnie ideologiczny ciężar”? Przypomnieć należy również, że oderwanie Lwowa, Wilna i Ziemi Wschodnich od Polski nastąpiło nie w wyniku „dziejowej sprawiedliwości” ale wskutek zbrodniczego napadu dwóch ówczesnych potęg.

Panie Prezydencie! W imieniu tysięcy rzesz wysiedlonych Polaków domagamy się od Pana jako zwierzchnika sił zbrojnych podjęcia stanowczych działań wobec najwyższych władz Ukrainy dla przywrócenia takiego wystroju miejsca wiecznego spoczynku żołnierzy polskich, lotników amerykańskich i żołnierzy francuskich, jaki im przygotował przed kilkudziesięciu laty cały Naród.

Jednocześnie wyrażamy ubolewanie, że sekretarz stanu Jerzy Milewski — zapewne za Pańską wiedzą — odpowiedział w piśmie z dnia 9 lipca br., że objęcie przez Pana patronatu nad obchodami 75 rocznicy odzyskania Niepodległości i Obrony Lwowa byłoby rzeczą niestosowną z uwagi na rzecz „szerszego zbliżenia i rzeczywistej równoprawnej współpracy Polski z Ukrainą.”

Pytamy zatem czy nie uwzględnić tych samych kryteriów do obchodów 50-tej rocznicy Powstania Warszawskiego, którą już Pan zapowiadał i nad którymi objął patronat. Dlaczego tutaj nie dopatrzył się Pan niestosowności wobec RFN?

Pytamy czy krew przelana przez Lwowskie Dzieci w obronie zawsze wiernego Lwowa, zbiorowego kawalera orderu *Virtuti Militari* była gorsza niż krew ich bohaterskich Rówieśników przelana ćwierć wieku później?

Ubolewamy, że Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej robi różnicę w oddawaniu hołdu i szacunku dla Poległych, którzy tylko i wyłącznie walczyli o Polskę.

Zarząd Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich



Elementy polityki wschodniej III Rzeczypospolitej

Od red.

27.VIII br. otrzymaliśmy od Obywatelskiego Komitetu Obrony Polaków na Wileńszczyźnie tekst referatu wygłoszonego przez Przewodniczącego Komitetu prof. dr Ryszarda Szawłowskiego, wygłoszonego na sesji naukowej „Polskość i Polacy na Wschodzie” zorganizowanej przez Klub na Rzecz Europy Środkowowschodniej przy Uniwersytecie Warszawskim w listopadzie ubiegłego roku. Redakcja podziela poglądy i opinie wyrażone przez autora i solidaryzuje się w pełni z działaniami Komitetu w obronie praw Polaków na Litwie. Tekst referatu, otrzymany już po zrobieniu makiety niniejszego numeru *Semper Fidelis* podajemy z konieczności ze skrótami.

W warunkach mocarstwa można realizować intensywną i ekstensywną politykę zagraniczną na „wszystkie azymuty”, to co de Gaulle głosił swego czasu w zakresie polityki obronnej. Natomiast w warunkach polskich polityka zagraniczna musi się koncentrować na kierunku zachodnim i wschodnim, choć próbujemy też coś kleić — zwłaszcza w postaci Grupy Wyszehradzkiej — w kierunku południowym.

Ale interesuje nas tu zasadniczo polska polityka wschodnia, która budzi poważne — nieraz wręcz zasadnicze — zastrzeżenia i sprzeciwy. Co do elementów doktrynalnych realizowanej obecnie polityki wschodniej korzenie jej sięgają niewątpliwie zmarłego w 1976 roku Juliusza Mieroszewskiego, publicysty w dziedzinie spraw międzynarodowych paryskiej „Kultury”. Natomiast w zakresie postulowanej przyszłej polityki wschodniej pozycje jego może najlepiej ilustrują dwa następujące cytaty: 1. „...Ukraińcy, gdyby im odebrano Lwów, byłiby bardziej skrzywdzeni niż my, którzy utraciliśmy Lwów, i 2. „Najłatwiejszy, choć katastrofalny w skutkach(?) miniimperializm, jak Zaolzie, czy odebranie przy sprzyjającej okazji małemu narodowi Wilna”. Jednym słowem Ukraincom, bo duży naród, Litwinom — bo mały, oddawajmy bez jakichkolwiek zastrzeżeń, nawet bez najmniejszych „świadczeń wzajemnych” z ich strony wszystko, co zostało nam zrabowane przez gangsterstwo międzynarodowe z lat 1939–1944/45!

Faute de mieux (Z braku czegoś lepszego — red.) nie mając na ogół własnych koncepcji ale jakby chcąc epatować jakąś oryginalnością, zerwaniem z tzw. tradycyjnym myśleniem, które przecież normalnie bazowało na naturalnym patriotyzmie i elementarnym poczuciu prawa, chęci przywrócenia choć części bezprawnie naruszonego naszego stanu posiadania na Wschodzie, oczekiwaniu odszkodowań za zadane nam olbrzymie straty... — przyjęli idee Mieroszewskiego pewni publicyści tzw. drugiego obiegu w kraju. Z publicystów krajowych warto może wymienić Bogdana Skaradzińskiego, piszącego w latach osiemdziesiątych pod pseudonimem „Podlaski”. W swojej mającej szereg wydań książce zatytułowanej „Białorusini, Litwini, Ukraińcy”, którą uważa za swoją najważniejszą pracę, jak to powiedział w wywiadzie w „Spotkaniach” (8–14 X 1992), wypowiada rzeczy, które wprost bulwersują każdego, choć najogólniej w tych sprawach zorientowanego Polaka. Mianowicie w imię jakby jakiegoś za wszelką cenę „Kochajmy się” z sąsiadami ze wschodu, ów pan z przerażającą

łatwością prześlizguje się np. po strasznym ludobójstwie popełnionym w czasie II wojny światowej przez Ukraińców na Polakach; natomiast jak może potępia własnych rodaków, np. polskie działania administracyjne przed wojną w odpowiedzi na terror ukraiński.

Nic dziwnego, że „wykształceni” na takich lekturach ludzie, przeważnie młodszego i średniego pokolenia (dla których paryska *Kultura* stanowiła swego rodzaju biblię), w tym od 1989 roku wielu senatorów i posłów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego oraz angażowani wówczas do pracy w MSZ przeważnie młodzi ludzie, nabrali przekonania, że od Ukraińców, Litwinów, Białorusinów i ich państw nic nam się nie należy; że musimy oburącz podpisać się pod zastanym status quo, zachować się wobec nich wręcz usłużnie po linii stosunków międzypaństwowych. W konsekwencji zaś np. prawa mniejszości polskich na tamtych terenach muszą ustąpić na wyraźnie dalszy plan.

Przechodzę obecnie do konkretnych przejawów realizowania owej polityki wschodniej. Tutaj chciałbym przede wszystkim skoncentrować się na polityce w stosunku do naszych granic na Wschodzie, która nie może być dla nas (a tak się niestety przeważnie dzieje w Polsce odnośnie tego tematu) jakimś politycznym tabu. Geneza tych granic jest znana: agresja sowiecka na Polskę z 17 września 1939 roku, połączona ze złamaniem przez Moskwę szeregu traktatów zarówno bilateralnych jak i multilateralnych — w sumie zbrodnia przeciw pokojowi. Ponad pięć lat później tzw. porozumienie jałtańskie z lutego 1945 roku określone w literaturze anglosaskiej (H.W. Briggs) jako „an historical curiosity and a legal monstrosity” — „historyczne kuriozum i prawne monstrum”.

Już wcześniej, 27 lipca 1944 roku miał miejsce „utajniony” układ graniczny, zawarty w Moskwie przez Stalina z własnymi agentami z tzw. Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, pozującymi na przedstawicieli państwa polskiego. Potem ci sami agenci podpisali jeszcze układ polsko-sowiecki z 16 sierpnia 1945 roku, w swojej preambule cytujący porozumienie jałtańskie. Doszedł on do skutku w takich warunkach, że kiedy ówczesny wicepremier Stanisław Mikołajczyk, który dopiero w Moskwie dowiedział się, co ma być podpisane (zresztą nie przez niego), przedstawił zastrzeżenia i próbował spowodować dyskusję na temat granicy, oraz zażądał od Mołotowa rozmowy ze Stalinem — ten ostatni obrugał całą delegację i odmówił dalszych rozmów.

Obecnie rozpowszechnia się u nas — świadomie czy nieświadomie — grube dezinformacje o tym, jakoby kwestionowanie naszej granicy pojałtańskiej na Wschodzie oznaczało podważanie naszej granicy na Zachodzie — takie wypowiedzi padały np. z ust senator Symonides czy prof. Kerstenowej. Tymczasem granica na Zachodzie jest w tej chwili optymalnie zabezpieczona, zarówno prawnie jak i politycznie, żadnego *iunctim* między nią, a granicą wschodnią nie ma. Montować takie tezy mogły by na Zachodzie

jakieś niewiele znaczące „marginesy polityczne”. Natomiast sami Polacy nie powinni swoimi tego rodzaju wypowiedziami dostarczać wody na młyn nawet owym „marginesom”.

Co do aspektów moralno-prawnych sprawy obecnej granicy Polski na zachodzie najlepiej przytoczyć Güntera Grassa (wywiad z nim w „Więzi” wrzesień 1992): „Rozpoczęliśmy wojnę, przeprowadziliśmy ją w sposób zbrodniczy i przegraliśmy ją. Ceną za to jest utrata prowincji oraz ból ludzi, którzy stracili swoją ojczyznę”. Natomiast — dodajmy — jeśli chodzi o obecną granicę Polski na wschodzie: myśmy nie rozpoczęli wojny, myśmy jej nie prowadzili w sposób zbrodniczy i myśmy jej (rzekomo) nie przegrali, a wygrali. W „nagrodę” za to zapłaciliśmy „utrata prowincji oraz bólem ludzi, którzy stracili swoją ojczyznę”.

Spotyka się czasem „ostrzeżenie” idące ze Wschodu, jakoby Akt Końcowy z Helsinek 1975 roku wręcz „zakazywał” wszelkich zmian granic w Europie. Nieprawda, ponieważ Akt ów, nie będący zresztą traktatem, przypomina tylko postanowienia Karty ONZ z 1945 roku o zakazie posługiwania się w stosunkach międzynarodowych groźbą użycia lub użyciem siły. Natomiast w innym miejscu wręcz deklaruje, się „... granice mogą być zmieniane zgodnie z prawem międzynarodowym, środkami pokojowymi oraz w drodze porozumienia”.

Państwa znajdujące się w tym względzie w sytuacji podobnej do odnośnej sytuacji Polski — zwłaszcza Rumunia, ale także Łotwa i Estonia, tysiące kilometrów dalej także Japonia — jednoznacznie domagają się pewnych korekt swoich granic, naruszonych pół wieku temu przez Związek Sowiecki. Nawet z Finlandii dochodziły propozycje odkupienia zrabowanej jej Karelii.

Nic z tych rzeczy nie ma w III Rzeczypospolitej. „Odwrotnie” już w 1990 roku Polska „ryczałtowo” zaczęła zrzucać się roszczeń do ziem bezprawnie jej zabranych, nawet jakichkolwiek roszczeń częściowych. Mało tego, nie potraktowano takich roszczeń choćby jako atutu przetargowego dla uzyskania np. autonomii dla Polaków na Wileńszczyźnie — gdzie wobec agresji szowinizmu litewskiego autonomia jest po prostu warunkiem ich przetrwania. Był to wprost karygodny błąd w sztuce dyplomatycznej.

Ow wielki błąd zainaugurował Skubiszewski bodaj w maju 1990 roku, kiedy w trakcie wizyty, określonej jako „prywatnej”, nie wiadomo dlaczego złożył oświadczenie na konferencji prasowej, a następnie udzielił jeszcze wywiadu londyńskiemu „The Independent”, w którym pospieszył z oświadczeniem, że Polska nie ma roszczeń nawet do drobnych korekt granicy wschodniej. A więc minister, wypowiadając się nie wiadomo z czyjego upoważnienia, rozpoczął już wówczas proces zrzekania się nawet zamieszkałych dotąd przez setki tysięcy Polaków rejonów Grodzieńszczyzny czy Wileńszczyzny albo praw do pozostającej w ówczesnym ZSRR części Puszczy Białowieskiej. Dodajmy, że oświadczenie Skubiszewskiego oprotestował 14.V 1990 roku Rząd RP Na Uchodźctwie.

Takie orzeczenia — teraz i na przyszłość — zostały potem, bez żadnych świadectw wzajemnych z drugiej strony, zawarte w dwustronnych Deklaracjach podpisanych na jesieni 1990 roku z Ukrainą

i Federacją Rosyjską, w 1991 roku z Białorusią i w styczniu 1992 roku z Litwą. Następnie zaś w traktatach w 1992 roku kolejno z Ukrainą (18.V), Federacją Rosyjską (22.V) i Białorusią (23.VI). Standardowa formuła odnośnego zapisu w cytowanych dokumentach brzmi (z drobnymi różnicami stylistycznymi): „umawiające się strony uznają istniejącą między nimi granicę za nienaruszalną i stwierdzają, że nie mają i nie będą mieć w przyszłości wobec siebie żadnych roszczeń terytorialnych.”

W tej formule zawarte jest — „na równej płaszczyźnie” — z jednej strony zrzeczenie się przez Polskę ziem zrabowanych jej — przez gangsterów z óczesnej Moskwy, a obecnie znajdujących się w posiadaniu paru państw sukcesorów byłego ZSRR. Jednocześnie z drugiej strony, implikuje się jakby „zrzeczenie” się jakichś „praw” (w cudzysłowie) — z których mogłyby wynikać roszczenia tych państw sukcesorskich w stosunku do Polski. Chodzi chyby o wysuwane przez różne sfanatyzowane „Winije” czy „Ruchy” pretensje do Suwalszczyzny, Podlasia czy Chełmszczyzny.

Tutaj byłby czas na szczegółowe i krytyczne przyjrzenie się wspomnianym właśnie czterem dokumentom międzynarodowym — wszystkim z roku 1992 — mianowicie traktatom z Ukrainą, Federacją Rosyjską, Białorusią oraz Deklaracji Polsko-Litewskiej, nie tylko pod kątem muśniętej przed chwilą kwestii granic, ale również pod kątem innych pierwszorzędnej wagi spraw, takich jak ochrona mniejszości czy sprawa odszkodowań.

Co do Deklaracji z Litwą. Przed jej podpisaniem brak było jakiejkolwiek konsultacji z ludnością polską Wileńszczyzny. Dalej przypomnieć należy niedotrzymanie przez p. Skubiszewskiego obietnicy danej polskiemu parlamentowi, że Deklaracja nie zostanie podpisana, nim nie będą rozpisane wybory do rozwiązanych „polskich” rad rejonowych wileńskiej i solecznikowskiej. Jeśli chodzi o sam podpisany tekst, niema w nim śladu w pełni uzasadnionych roszczeń Polaków Wileńszczyzny do autonomii narodo-wo-terytorialnej; brak zapisu o zwrocie zagrabionego polskiego mienia społecznego na Wileńszczyźnie brak zapisu o Polskim Uniwersytecie w Wilnie.

Jeśli chodzi o realizację Deklaracji ze stycznia 1992 roku przez stronę litewską w odniesieniu do Polaków na Wileńszczyźnie, wymienić tu mogę jedynie zakrojoną na szeroką skalę kolonizację ziemi należącej do polskich rolników; arbitralne, zabójcze dla Polaków zmiany granic okręgów wyborczych dyskryminację niemal na każdym kroku, w tym szykany prokuratorskie aktywistów polskich; wreszcie nawet bicie Polaków (w tym pobicie polskiego charge d'affaires w Wilnie Maszkiewicz!). W tym ostatnim zakresie — owego bicia — polskie MSZ — nie wypełniając swych podstawowych obowiązków — albo nie reagowało w ogóle, albo reagowało tak słabo i „dyskretnie”, że w sumie jakby zachęcało szowinistów litewskich do dalszego bezprawia.

Niestety 7 stycznia 1993 roku miało miejsce spotkanie premier Suchockiej z premierem Litwy Lubysem, następnie zaś przekazanie stronie litewskiej — 13 I 1993 — tekstu projektu traktatu „O dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy”.

Tekst projektu nie został udostępniony polskiej opinii publicznej, czy choćby jej najbardziej zaintere-

sowanym kręgom. Znowu nie było konsultacji wewnętrznych z krajowymi znawcami tej problematyki w różnych jej aspektach, ludźmi, którzy często biją na głowę arcyskromną nieraz wiedzę urzędników obecnego MSZ. Nie było także konsultacji z frakcją polską nowowybranego litewskiego Sejmu oraz kierownictwem Związku Polaków na Litwie.

Istnieje jednak podejrzenie graniczące z pewnością, że projekt traktatu stanowi w gruncie rzeczy rozszerzoną, uszczegółowioną wersję Deklaracji polsko-litewskiej z 13 I 1992. Że zawiera zatem, być może, podstawowe wymogi „skubiszewszczyzny”, nie zawiera natomiast sygnalizowanych już wyżej podstawowych wymogów z punktu widzenia interesów naszych rodaków na Wileńszczyźnie oraz polskiej racji stanu. Do zawarcia takiego traktatu nie wolno dopuścić.

Dodatkowego materiału o tym jak prowadzona jest przez Skubiszewskiego polska polityka zagraniczna — dostarczyła dyskusja sejmowa z 20 II i 3 III 1993 r. w sprawie Euroregionu Karpaty. Istotnie część posłów nie wykazała w tej dziedzinie dobrej orientacji. Ale w dominującej mierze był to właśnie wynik owego niedopuszczalnego manipulowania przez „skubiszewszczyznę” za plecami własnego narodu, antydemokratycznego zaskakiwania faktami dokonanymi owego nieraz wręcz nieoświeconego absolutyzmu, zupełnej arogancji władzy. Ale szczęśliwie — chyba po raz pierwszy — znalazł się tu Skubiszewski w wyraźnej defensywie; jakby ktoś krzyknął, że minister jest nagi. Już 20 II 1993, pozwalając sobie dalej na pewną arogancję, w pewnym momencie wyksztusił: „ze strony MSZ pewna informacja była (jaka?!), ale przyznaję, że są braki w informacji”. Rozpaczliwie zorganizował — na dzień przed drugą debatą sejmową — jakąś konferencję w MSZ, dostarczenie — w samym dniu tej debaty(!) — materiałów posłom. Ale wszystko to — przypomnijmy — miało miejsce już po podpisaniu porozumień w Debreczynie 14 II 1993 roku oraz po przyjęciu tamże deklaracji ministrów spraw zagranicznych Polski, Ukrainy i Węgier, będącej „politycznym wsparciem współpracy transgranicznej w tym regionie. Zresztą 3 III 1993 roku Skubiszewski, podobnie jak poprzednio w innej sprawie znów rozminął się z prawdą twierdząc, że nigdy z jego strony nie było lekceważenia opinii publicznej.

Jeszcze parę słów o szeroko pojętej polityce kulturalnej na Wschodzie. Z budżetu państwa, częściowo przez powstałą już trzy lata temu „Wspólnotę Polską” łoży się spore — jak na warunki istniejącego kryzysu ekonomicznego — pieniądze na potrzeby kulturalne Polaków za obecną granicą wschodnią: na wydawnictwa, stypendia, stroje dla zespołów artystycznych, kolonie, ostatnio nawet na Domy Polskie (choć np. oddział w Mińsku Związku Polaków na Białorusi dotąd nie doczekał się pomocy w uzyskaniu lokalu). Jednocześnie jednak w 1992 roku stworzono jakby konkurencyjną dla „Wspólnoty Polskiej” rządową Fundację „Pomoc Polakom, na Wschodzie”, powierzając jej przewodnictwo wspomnianemu już Bogdanowi Skaradzińskiemu. Ten ostatni w wywiadzie dla „Spotkań” (8 — 14 X 1992) wypowiada pewne rażące myśli, m.in. taką: A jeśli przyjdzie nam do głowy, żeby polskiej szkole podarować sprzęt video, to może pan (rozmawiający z nim dziennikarz) być

pewien, że szkoła białoruska otrzyma go także. Otóż takiego człowieka, który chce w charakterze „dobrego wujka” szastać pieniędzmi polskiego podatnika w ramach Fundacji Pomocy Polakom na Wschodzie, powinien ostro przywołać do porządku parlament, powinna jego działalność zbadać Najwyższa Izba Kontroli, w ostateczności zaś musi on zostać szybko wymieniony.

Jeśli chodzi o interesujący nas tu szczególnie „front wschodni” polskiej polityki zagranicznej, Skubiszewski był po raz pierwszy w Moskwie podobno dopiero jako minister i poprzednio sprawami wschodnimi mało się interesował. O pewnej arogancji i megalomanii, braku cienia samokrytyki była już wzmianka poprzednio.

Polityka personalna (Skubiszewskiego — red.) oparta jest na zasadach własnego folwarku. Kadry na kierowniczych stanowiskach w centrali, oraz szefów misji dyplomatycznych — z pewnymi jedynie wyjątkami można określić jako zbieraninę, częściowo jeszcze z dawnego PZPR. Gdyby zaś zastosoować do kadry obecnego polskiego MSZ (nie mówię tu już tylko o „froncie wschodnim”) — od podsekretarza stanu w dół — takie same kryteria, jakie stosowano w okresie II Rzeczypospolitej czy np. w Niemczech (dodajmy także obecnie) przy egzaminach wstępnych do tego resortu — wówczas do natychmiastowego zwolnienia nadawałoby się prawdopodobnie 80 procent czy nawet więcej tych ludzi.

Polityka wschodnia III Rzeczypospolitej nie jest oparta na czymś, co godne było by doktryny, raczej na jakichś popłuczynach po Mieroszewskim i pewnych dywagacjach różnych lokalnych dyletantów. Kierowana jest z górą trzy lata przez człowieka na „froncie wschodnim” polskiej polityki zagranicznej najdelikatniej mówiąc — mało przydatnego. Potrzebny jest zupełnie nowy minister spraw zagranicznych. Człowiek znacznie lepiej znający i „czujący” całą problematykę wschodnią. Minister, znacznie bardziej polityk z dużym zacięciem i zdolnościami do prowadzenia z pewnym rozmachem, autentycznie nowej i nowatorskiej polskiej polityki wschodniej. Także minister mający znacznie więcej talentu administracyjnego, w tym znacznie więcej chęci i umiejętności dobierania odpowiednich współpracowników, nie prowadzący już resortu jako czegoś w rodzaju konspiracyjnego folwarku, nie megaloman, człowiek choć częściowo otwarty na krytykę. Innymi słowy, potrzebny jest diametralnie odmienny szef polskiej dyplomacji, który wypełnił by szerszą się od jesieni 1989 roku niebezpieczny — tak bym to określił — syndrom „skubiszewszczyzny” w zakresie polskiej polityki wschodniej.

Ale powiedzmy otwarcie: gdyby radykalne zmiany miały nastąpić szybko, już w 1993 roku — odrobienie niektórych szkód wyrządzonych przez „skubiszewszczyznę” może okazać się już niestety bardzo trudne, jeśli wręcz nie niemożliwe. Mam tu zwłaszcza na myśli zapisy traktatowe.

Dzisiaj, w 1993 roku, możliwa — i konieczna — jest mądra praca nad tekstem traktatu polsko-litewskiego, którego na szczęście jeszcze nie ma. Bo jeśli traktat miał być tylko nieco rozszerzonym powtórzeniem owej Deklaracji, podpisanej w styczniu 1992 roku — była by to jeszcze jedna kompromitacja naszej „dyplomacji” i jej „polityki wschodniej”.

Komitet Obrony Ziem Wschodnich

Do prawie nieznanych faktów z historii pierwszych lat PRL, związanych z zaborem terenów Polski Wschodniej, należy powołanie w Krakowie, po uwolnieniu tego miasta w styczniu 1945 r., podziemnej organizacji pod nazwą Komitetu Obrony Ziem Wschodnich (KOZW). Szczegółowe informacje o działalności tej organizacji są znane prawdopodobnie nielicznym pozostałym przy życiu uczestnikom i być może ich rodzinom. Zachodzi zatem uzasadniona obawa, iż z dalszym upływem czasu odtworzenie historii KOZW stanie się niemożliwe.

Przedstawione poniżej informacje zaczerpnięto z obszernego życiorysu ks. Bolesława Grudzieńskiego, opracowanego w listopadzie 1980 r. przez jego siostrę Zofię Grudzieńską.

Główną siedzibą KOZW w Krakowie było mieszkanie w domu przy ul. Botanicznej 4/9 (obecnie 4/2) zajmowane przez ks. Bolesława Grudzieńskiego, kanonika Lwowskiej Kapituły Metropolitalnej i jego siostrę Zofię Grudzieńską, nauczycielkę szkoły im. Kordeckiego we Lwowie. Czołowymi działaczami Komitetu odpowiedzialnymi, m.in. za sprawy finansowe organizacji, byli, obok wymienionego wcześniej ks. Grudzieńskiego, prof. dr Józef Zieliński ze Stanisławowa (historyk, znawca stosunków polsko-ukraińskich), prof. Józef Hajdukiewicz (przedwojenny prezes Stronnictwa Narodowego w Krakowie, jego syn Leszek Hajdukiewicz (zakatowany później w więzieniu PRL), oraz były sędzia o nieustalonym nazwisku.

W pracach KOZW wzięło udział wielu Polaków zarówno w kraju jak i zagranicą. Zebrano znaczne sumy pieniężne z przeznaczeniem głównie na działalność charytatywną (przede wszystkim na pomoc dla coraz to liczniejszych tułaczy z Małopolski Wschodniej a zwłaszcza ze Lwowa). Większe kwoty i waluty obce przechowywano w krakowskim klasztorze sióstr Karmelitanek.

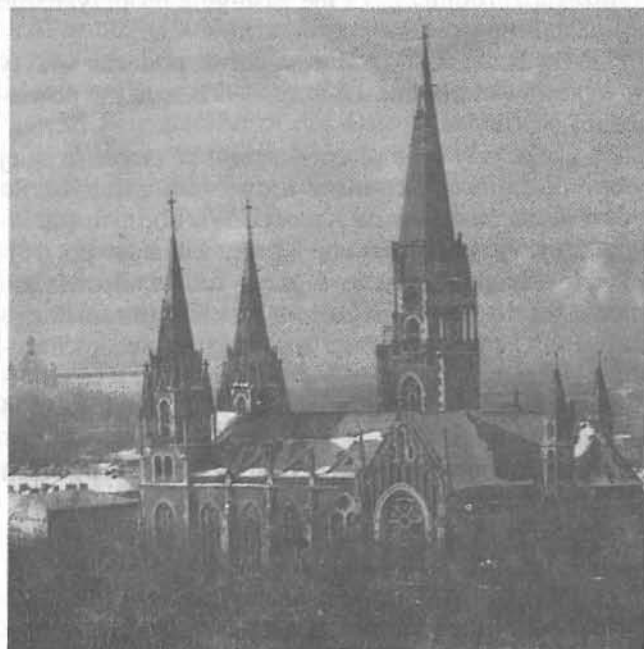
Można domyślać się, iż jednym z zadań KOZW było przygotowanie organizacji polonijnych do podjęcia działań zmierzających do odzyskania Ziem Wschodnich poprzez propagandę i naciski na rządy odpowiednich krajów. W Polsce, po zakończeniu wojny, spodziewano się wybuchu konfliktu zbrojnego między aliantami i ZSRR. Należało zatem przygotować się dostatecznie wcześniej do przetargów związanych z odzyskaniem Ziem Wschodnich aby uniknąć sytuacji jaka zaistniała po I wojnie światowej.

Komitet działał niecałe dwa lata do grudnia 1946 r., to jest do czasu aresztowania (możliwe, iż przy udziale NKWD) jego głównych działaczy. Oprócz osób wymienionych wyżej aresztowano wówczas Stanisława Zielińskiego (były konsul), K. Nowosada (aktor), Kazimierza Brończyka (prof. VII gimnazjum we Lwowie), Władysława Tarnawskiego (prof. anglistyki UJK, zmarł w więzieniu we Wronkach), p. Górkównę (studentka, bratanica Olgerda Górki, ówczesnego konsula w Palestynie) i K.K. Domańskiego. Po dziesięciomiesięcznym śledztwie, w październiku 1947 r. zapadły wyroki skazujące członków KOZW na kary od 6 do 8 lat więzienia.

Przez przypadek aresztowania uniknęła p. Zofia Grudzieńska, której udało się uprzedzić jednego z czołowych działaczy KOZW ks. kanonika Józefa Matusa, proboszcza kościoła św. Elżbiety we Lwowie, o kotłach zastawionych w mieszkaniu przy ul. Botanicznej i kilku innych. Ks. Matus uniknął uwięzienia i pod zmienionym nazwiskiem prowadził dalej działalność duszpasterską.

Z.B.

Od redakcji: Czytelników Semper Fidelis prosimy o podanie wszelkich informacji na temat tej organizacji.



Ks. protonotariusz apostolski (infułat) Władysław Matus urodził się 26 V 1888 r. W 1913 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ks. arcybiskupa metropolity Józefa Bilczewskiego w katedrze łacińskiej we Lwowie. Był wikariuszem w Lubaczowie, następnie proboszczem w Husiatynie. Stąd przeszedł do Lwowa, gdzie budował kościół Św. Elżbiety. Z tego kościoła przed II wojną światową były transmitowane nabożeństwa, podczas których wygłaszał kazania. W latach 1922 do 1927 był posłem na Sejm RP z listy Związku Ludowo-Narodowego.

W czasie wojny nie zaznał spokoju — w końcowym okresie pełnił bowiem funkcję prezesa konspiracyjnego Stronnictwa Narodowego. Dlatego był poszukiwany tak przez NKWD jak i Gestapo. Po wojnie poszukiwało Go UB — ale bezskutecznie, gdyż ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem jako ks. Józef Malkiewicz — najpierw w Krakowie, potem w Częstochowie, a od 1947 r. w diecezji włocławskiej. Był tam proboszczem w Bobrownikach i Przedczu. Od 1978 r. rezydował w parafii Ostrowas w dekanacie niezawskim. Krótko przed śmiercią został odznaczony Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 26 IV 1993 r. Pochowany został w Sobolowie w ziemi bocheńskiej. Cześć Jego świetlanej pamięci.

ALEKSANDER KORMAN

Osobowe i materialne straty Polaków wynikłe z działalności terrorystów OUN-UPA

Prace badawcze związane z tematem depolonizacji Południowo-Wschodnich Kresów II RP w latach 1939–1943 będącej wynikiem działań terrorystów z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii nie były podejmowane ani w Polsce Ludowej, ani – jak mi wiadomo – w okresie późniejszym. Mam tu na myśli Instytut Historii PAN oraz instytuty historii uniwersytetów i wyższych szkół pedagogicznych.

Wydaje się, że nie podejmowano nawet prób ocalenia ewidencji i zabezpieczenia źródeł dotyczących tej tematyki.

Temat depolonizacji Kresów Wschodnich obchodzi natomiast żywo i porusza tych, którym udało się przeżyć polski kresowy Holocaust oraz tych, którzy w przemilczaniu tej tragedii dopatrują się braku prawa i sprawiedliwości.

Temat ten był również skrzętnie pominięty w programie sympozjum zorganizowanego przez Archiwum Wschodnie na Uniwersytecie Wrocławskim w dniach 27–29 IV 1990, ograniczającym się do dokumentacji zbrodni sowieckich. Skromne próby zaanonsowania tej problematyki podjął Zarząd Główny TML we Wrocławiu organizując na tymże uniwersytecie sesję naukową w dniach 1–3 VI 1990 r. poświęconą stanowi i perspektywie badań nad dziejami Lwowa, na której wygłosiłem referat pt. „Źródła do badań nad eksterminacją ludności polskiej przez UPA”. Niestety z braku środków finansowych materiały z tej sesji nie ukazały się drukiem.

Aktualnie relacje i źródła dotyczące eksterminacji obywateli polskich przez OUN-UPA gromadzą i zabezpieczają Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów we Wrocławiu oraz Stowarzyszenie Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu z siedzibą w Zamościu.

W tej sytuacji trud niezależnych prac badawczych z zakresu tego tematu podejmują pojedyncze osoby, ograniczając się do źródeł krajowych. Nie mają one żadnych stypendiów na pokrycie kosztów kwerendy w zagranicznych archiwach, zwłaszcza niemieckich, ukraińskich i rosyjskich, w kraju zaś badania prowadzą z własnych środków.

Rozpowszechnione w okolicznościowych wykładach i odczytach na polskich uniwersytetach (Kraków, Lublin, Warszawa) poglądy ukraińskich historyków są często stronnicze (np. dr W. Mokrego, prof. dr B. Osadczuka), nie wspominając już o hasłach związanych z tą tematyką, które znajdują się w Encyclopædia of Ukraine pod redakcją Włodzimierza Kubijowicza. Ten był docent Uniwersytetu Ja-

giellońskiego, później przewodniczący Ukraińskiego Centralnego Komitetu złożył 18 IV 1941 r. gubernatorowi Frankowi memoriał, w którym domagał się wydzielania w Generalnym Gubernatorstwie ukraińskiego terytorium autonomicznego oraz bezwzględnego wysiedlenia z niego całej ludności polskiej, tj. z obszaru wzdłuż linii Dukła, Brzozów, Dynów.

W świetle dotychczasowego stanu wiedzy można stwierdzić, że na temat strat osobowych dotyczących eksterminacji Polaków przez OUN-UPA brak dokładnych danych liczbowych, bowiem nie podejmowano żadnych instytucjonalnych prac badawczych w tym przedmiocie.

Obliczenia szacunkowe natomiast zawsze budzą różne wątpliwości. Można by przyjąć hipotetycznie, że strona polska ma tendencję do zaniżania liczby ofiar, nie dysponując dokładnymi danymi, a ukraińska strona sprawcza i ich adherenci korzystając z tego zaniżają straty osobowe Polaków jeszcze bardziej. Jest to zrozumiałe, ponieważ chodzi o uniknięcie odpowiedzialności karnej żyjących jeszcze sprawców zbrodni ludobójstwa oraz hańby ciążyącej na ukraińskich nacjonalistach.

Polska opinia społeczna, wydaje się jednoznaczna – UPA nie miała charakteru militarnego, lecz kryminalny, zbrodniczy. Opinię tę podzielili ukraińscy kombatan-ci na warszawskiej konferencji kombatan-tów Białorusi, Polski, Rosji i Ukrainy w dniu 19–20 lutego 1993 r., stwierdzając jasno: „UPA była organizacją zbrodniczą...” i nie zasługuje na przyznanie jej członkom statusu kombatan-tów.

Prezydent Ukrainy L. Krawczuk podczas wizyty w Warszawie w dniu 19 maja 1992 r. m.in. powiedział:

„Nie ukrawamy i nie przemilczymy. W czasie drugiej wojny światowej ukraińscy szowiniści zabili około pół miliona Polaków na Kresach Wschodnich przedwrześniowej Polski. Również przez kilka lat po wojnie płonęły polskie wsie i ginęli ludzie. Szowinizm ukraiński, to wrzód na zdrowym ciele ukraińskiego narodu, to wyrzut naszego sumienia względem narodu polskiego.”

Lwowski historyk B. Iwasiuta jeszcze w roku 1954 obliczył, że z rąk OUN-UPA oraz innych nacjonalistów ukraińskich zginęło 685 tysięcy byłych obywateli II Rzeczypospolitej Polskiej – Polaków i Żydów.

Inni historycy ukraińscy – M.M. Warwarcew i O. Dobrecowa liczbę tę podwyższają do 800 tysięcy.

Zgola inną opinię, niestety krzywdzącą bardzo Polaków, wyraża ukraiński profesor we Lwowie J. Daszkewycz – reprezentujący i rozpowszechniający

pogląd ukraińskiego nacjonalisty na emigracji P. Mirczuka — który pisze, że:

„Obecnie, mniej więcej uzasadnione jest mówić o około 70–80 tysiącach zabitej polskiej ludności, co oczywiście, także stanowi ogromną liczbę, w zasadzie całkiem niewinnych ludzi; przeważnie zamęczonych w okrutny sposób (...) Z drugiej strony, należy koniecznie podkreślić, że liczba polskich i ukraińskich ofiar na Chełmszczyźnie i Zachodnim Wołyniu jest w przybliżeniu jednakowa. Polskie bojówki rozprawiły się z Ukraińcami z niemniej wyrafinowanym okrucieństwem. Jeżeli wyjdziemy z logiki i terminologii »kresowiaków«, polscy nacjonałiści pełnoprawnie zasługują na równorzędne nazwanie ich rizinami i hajdamakami”.

Po stronie polskiej nie występują jednolite szacunki polskich ofiar, które — jak już zaznaczyłem — mogą budzić różne zastrzeżenia.

Na przykład, według E. Prusa i J. Czmuta szacunkowo oblicza się, że od ciosów siekier, noży, wideł, kul, ognia i innych narzędzi mordu zginęło ponad 500 tysięcy Polaków. Potwierdzają to moje badania.

Stosując w obliczeniach metodę bilansową J. Engelgard przyjmuje szacunek 300–400 tysięcy Polaków — ofiar terroru tylko dokonanego przez UPA, z pominięciem ofiar z rąk członków OUN i innych ukraińskich terrorystów.

W. Krzemień podaje, że terroryści OUN-UPA, ukraińscy żołnierze SS Galizien i inni ukraińscy szowiniści tylko do jesieni roku 1944 zamordowali na zachodnim Wołyniu 165 tys. Polaków (według zanizonej statystyki niemieckiej).

S. Dłuski szacuje zaś zbrodnie ukraińskich szowinistów na terenie zachodniego Wołynia w wysokości zbliżonej do W. Krzemienia — 140 tys. polskich ofiar.

W około 1000 miejscowościach na Wołyniu, zbrodnie OUN-UPA na ludności polskiej J. Turowski i W. Siemaszko szacują na 60–70 tys. ofiar. Jednocześnie podają, że zbrodni tych dokonano w co najmniej 2000 miejscowościach, a zatem szacunek ich może być podwójny tj. 120–140 tys. zamordowanych.

Ogólne liczby strat osobowych zdaniem E. Prusa i J. Czmuta (500 tys. zamordowanych) wydają się zbliżone do rzeczywistości. Władysław Studnicki podczas audycji u gubernatora dystryktu galicyjskiego SS Brigadeführera dra Otto Wächtera w dniu 27 VI 1944 r. zarzucił Niemcom, iż dopuścili, by ukraińscy nacjonałiści wymordowali w Galicji, tj. bez Wołania 200 tys. Polaków. O. Wächter szacował liczbę polskich ofiar na 40 tys. osób, obecny zaś przy rozmowie szef SS i policji gen. Thier rozmiary tej zbrodni określił na 100 tys. osób. Obydwaj rozważali utworzenie w dystrykcie galicyjskim polskiego Selbstschutzu.

Wiadomo, że zaktywizowanie masowych rzezi i mordów ludności polskiej występowało w Małopolsce Wschodniej właśnie w okresie całego roku 1944, a także połowy roku 1945. Zatem ogólna liczba wymordowanej ludności polskiej ponad 500 tys. osób w latach 1939–1945 i następnych zarówno w Małopolsce Wschodniej (województwa: lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie) jak i na Wołyniu (województwo wołyńskie), południowym Polesiu, południowej

Lubelszczyźnie oraz północnej Bukowinie — wydaje się być całkiem zbliżona do rzeczywistości.

Zdecydowana większość Polaków zginęła w tak straszliwych okolicznościach i z zastosowaniem wymyślnych tortów psychicznych i fizycznych, że cywilizowany człowiek XX w. nie może tego pojąć i w to uwierzyć.

Ogromne straty narodowych dóbr kultury, np. zabytkowe obiekty sakralne i świeckie, zagrabione i zniszczone dzieła sztuki, a także zawłaszczone mienie indywidualne zarówno w postaci wartościowych przedmiotów, jak i wyposażenia domów, wymagają szacunkowych obliczeń. Zagrabienie płodów rolnych, zwierząt hodowlanych, maszyn i urządzeń rolniczych, nawet w przybliżeniu nie są znane i oczekują na rzetelne opracowanie.

Grabiono również świątynie, można tu wymienić niektóre kościoły rzymsko-katolickie, m.in. w: Kisielinie, pow. Horochów; Krymie Poryckiej i Świczowie w pow. Włodzimierz; Firlejowie pow. Rohatyn; Ziemiance pow. Kałusz.

Ten ostatni był kościołem zabytkowym, zbudowanym w XVII w. z drzewa modrzewiowego. Terroryści OUN-UPA kościół w Ziemiance naprzód obrabowali — kielichy ukradli, Najświętszy Sakrament i komunikanty rozsypali po podłodze, zagarnęli szaty liturgiczne, a następnie obiekt spalili.

Jeśli chodzi o grabież kaplicy we wsi Kołodziejów, pow. Stanisławów naoczny świadek podał w relacji (J. Moskal);

„z szat liturgicznych również poszyto odzież, a z kielicha wstawiano sobie zęby. (...) co na to władze naczelne kościoła, co na to duchowieństwo cerkiewne ... Czy to także zostało rozgrzeszone przez cerkwie i pobłogosławione czułą prawicą kleru greckokatolickiej cerkwi?”

Inny świadek J. Serafin informuje o szczegółach morderczo-rabunkowego napadu dokonanego przez ukraińskich terrorystów w miejscowości Szumłany, pow. Podhajce po 17 września 1939 r.:

„Mord w Szumlanach rozpoczął się od sprofanowania rzymsko-katolickiego kościoła. Banda rozbiła drzwi kościoła, z którego wyniesiono następnie obrazy, chorągwie, szaty liturgiczne i wszystko to, co się w kościele znajdowało. W akcji brała udział młodzież męska i żeńska. Następnie pocięto na części przedmioty nadające się na przeróbkę spódnic, chustek itp., przy podziale dochodziło do bójek, a zwyciężał silniejszy. Z kolei uformował się pochód. Kilku młoców ubrało się w niezniszczone jeszcze szaty liturgiczne, i usiadło na konie i wśród szyderczych okrzyków i dzikiej wesołości ruszono na wieś. Zabrano oczywiście kielichy, komunikanty i inne świętości, które rozrzucono po drodze. Nie należy zapominać, że zarówno świętokradcy, jak i cała zresztą wieś byli katolikami, a tylko obrządku greckiego. Ta profanacja trwała trzy dni. (...) mordowano nocą rodziny polskie i rabowano ich dobytek. W tym czasie wymordowano wszystkich Polaków w Szumlanach. Terror zapanował tak straszny, że nawet starsi Rusini nie byli pewni życia. Wreszcie nadeszły wojska sowieckie...”

Przez całą wojnę trwała eksterminacja ludności polskiej. Pod koniec wojny tuż przed zbliżającym się

niemiecko-sowieckim frontem wschodnim – terroryści OUN-UPA po dokonaniu masowej rzezi Polaków szukających schronienia w zabytkowym klasztorze oo. Dominikanów w Podkamieniu, w dniach 13 i 14 marca 1944 r. doszczętnie obrabowali kościół i zespół klasztorny z drogocennych przedmiotów. Rabunek objął nie tylko kompleks kościelny, ale również domy pozostałych w miasteczku Podkamień polskich mieszkańców i trwał do dnia 20 marca 1944 r.

Terroryści OUN-UPA zrabowane polskie prywatne i kościelne mienie samochodami i furmankami wywieźli w kierunku miasta powiatowego Brody. W tym celu do Podkamienia zjechało wcześniej wiele ciężarowych samochodów i około dwustu furmanek. Napad morderczo-rabunkowy w dniach od 11 do 20 marca 1944 r. dokonany przez OUN-UPA wspomagany był przez ukraińskich żołnierzy 14 SS Schützen Division Galizien, zwanej powszechnie SS Galizien.

Jak wynikało ze szczegółowego zestawienia sporządzonego dnia 4.10.1944 r. dotyczącego rabunku w kościele i klasztorze oo. Dominikanów w Podkamieniu, podpisanego przez ocalałego przeora o. Marka Krasa, łączna kwota tych strat i szkód wynosiła 718 450 dolarów amerykańskich, w tym straty klasztoru – 278 450 i kościoła – 440 000. Wymieniona łączna kwota nie obejmowała strat i szkód wyrządzonych w majątkach rolnych i leśnych stanowiących własność tego zakonu.

Zrabowane mienie polskie w części zatrzymywali ukraińscy terroryści dla siebie, cenniejsze zaś zrabowane przedmioty, np. złote precjoza, zasyłały Nacjonalistyczny Skarb Narodowy na emigracji.

Zrabowane mienie przechowywali terroryści w specjalnych schowkach magazynowych, a także w mieszkaniach Ukraińców. Taki zbiór zagrabionego mienia odkrył oddział partyzancki Armii Krajowej pod dowództwem por. Słuckiego w miejscowości Horodziec, pow. Sarny, woj. wołyńskie.

„W każdym ukraińskim mieszkaniu leżały na podłodze, na strychach zwały pierzyn, poduszek, rozmaitych ubrań, zrabowanych podczas masowych mordów na Polakach i Żydach. W stajniach i oborach stało po 10, 20 i 50 koni, jak również duża ilość bydła i trzody chlewnej”.

Na podstawie źródeł urzędowych (Polnische Hilfs-Komitee), które zachowały się dzięki patriotycznemu poświęceniu i świadomości wagi tych dokumentów przez przedstawicieli polskiej inteligencji, a które zasilili zasoby archiwalne, udostępnione dopiero po 4 czerwca 1989 r. można chociaż fragmentarycznie dla lat 1943/44, nie obejmujących zresztą danych ze wszystkich powiatów poznać rozmiary zniszczeń dokonanych przez terrorystów OUN-UPA w polskich wsiach i osiedlach.

Oto te fragmentaryczne dane:

- I. WOJ. LWOWSKIE – ogółem spalonych budynków 2918 w powiatach: Bórka – 120; Drohobycz – 77; Gródek Jagielloński – 33; Jaworów – 251; Rawa Ruska – 795; Rudki – 950; Sambor – 69; Sokal – 500; Turka – 3; Żółkiew – 120.

- II. WOJ. STANISŁAWOWSKIE – ogółem spalonych budynków 7029 w powiatach: Dolina – 47; Kałusz – 3704; Kołomyja – 48; Kosów – 3; Rohatyn – 1747; Stanisławów – 278; Stryj – 602; Tłumacz – 300; Żydaczów – 300.

- III. WOJ. TARNOPOLSKIE – ogółem spalonych budynków 6827 w powiatach: Borszczów – 40; Brody – 2142; Brzeżany – 1152; Buczac – 487; Kamionka Strumiłowa – 452; Podhajce – 234; Przemyślany – 1490; Zbaraż – 120; Złoczów – 350.

- IV. WOJ. WOŁYŃSKIE – ogółem spalonych budynków 16500 w powiatach: Krzemieniec – 231; Horochów – 3500; Dubno – 3200; Włodzimierz – 33000; inne powiaty (szacunek) 6269.

OGÓŁEM: I–IV – 33 274 spalonych budynków.

- V. WOJ. RZESZOWSKIE, okres: 1.08.1944 – 1.07.1948 – ogółem spalonych budynków 19 000 w powiatach: Lubaczów, Jarosław, Przemyśl, Dobromil, Lesko, Sanok.

OGÓŁEM: 52 274 spalonych budynków.

Łączna liczba spalonych budynków ludności polskiej w rzeczywistości była na pewno wyższa, być może nawet kilkakrotnie.

Mając na uwadze rozmiar eksterminacji obywateli polskich na Kresach w imię prawdy historycznej i godności narodowej mamy moralne prawo oczekiwać od Polskiego Parlamentu uznania UPA jako organizacji ludobójczej, której zbrodnie nie ulegają przedawnieniu i skierowania sprawy do Międzynarodowego Trybunału w Hadze.

Podpisany 18 V 1992 r. Traktat między RP a Ukrainą jest – jak się wydaje – wyrazem polityki jednostronnych ustępstw ze strony polskiej. Parlament Ukrainy Traktat ten ratyfikował w historycznym i pamiętnym dniu dla Polaków – dniu 17 września (1992).

Zbliżenie polsko-ukraińskie powinno nastąpić tylko wtedy, gdy spełnione będą następujące warunki:

1. Przyznanie się do faktów popełnienia zbrodni ludobójstwa na kresowej ludności polskiej w II wojnie światowej oraz ich potępienie przez parlament Ukrainy.
2. Wystąpienie przez hierarchię ukraińskiej cerkwi greckokatolickiej z oświadczeniem do kresowej ludności polskiej i ich potomków, o przebaczenie – w imię chrześcijańskiej miłości – za popełnione zbrodnie ludobójstwa przez OUN-UPA na obywatelach polskich w II wojnie światowej.
3. Odszkodowanie za wyrządzone krzywdy moralne i materialne przez terrorystów OUN-UPA i inne formacje ukraińskie.

Zagłada polskiej wsi (19–23 czerwca 1943 r.)

Jeżiorany Szlacheckie parafia Nieświcz, gm. Czaruków, pow. Łuck na Wołyniu

Byłem świadkiem zagłady Jeżioran Szlacheckich. W ciągu pięciu dni zmieciono z powierzchni ziemi polską wieś istniejącą ponad 200 lat. Z rąk ukraińskich szowinistów spod znaku OUN-UPA zginęło ponad 30' mieszkańców. Straty ludzkie prawdopodobnie byłyby znacznie większe, gdyby nie podjęto próby zbrojnej obrony przez niektórych mieszkańców wsi.

Los mego życia, tak się ułożył, że po deportacji przez władze sowieckie w lutym 1940 r. moich rodziców i trójki młodszego rodzeństwa, boskim przeznaczeniem uniknąłem zsyłki. Znalazłem schronienie u swoich dziadków pod nazwiskiem panieńskim mojej matki w Jeżioranach Szlacheckich. Stały się one moją drugą rodzinną miejscowością. Tu miałem wujków, ciotki i kochającą babcię, a także kolegów, przyjaciół i wielu krewnych. Pomimo że większość mieszkańców wsi wiedziała o moim pobycie, nikt jednak nie doniósł do NKWD.

Pragnienie spłacenia moralnego długu wobec mieszkańców – tych, co przeżyli i tych, co zginęli podczas tragicznych dni 1943 r. – zdecydowało iż podjąłem opracowanie historii tragicznych losów mieszkańców tej na zawsze unicestwionej polskiej wsi.

Przez około 40 lat z dużymi przerwami, gromadziłem materiały o losach mieszkańców Jeżioran Szlacheckich, których pod groźbą utraty życia zmuszano do ucieczki i opuszczenia rodzinnej wsi. Mam nadzieję, że udało mi się w tej historii zawrzeć w miarę obiektywny i pełny obraz wydarzeń. Zdaję sobie sprawę, że mogłem pominąć lub przedstawić niepełny ich przebieg, za co przepraszam żyjących jeszcze mieszkańców Jeżioran Szlacheckich.

Serdecznie pragnę podziękować tym wszystkim świadkom i mieszkańcom Jeżioran Szlacheckich, którzy pomogli mi w odtworzeniu historii minionych i tragicznych wydarzeń, zwłaszcza zaś Mieczysławowi Siateckiemu i Józefowi Tchórzewskiemu.

Wiele osób, które przyczyniły się do powstania tej monografii niestety odeszło już na zawsze. Dziś z perspektywy połowy wieku, oddając spóźnione o wiele lat opracowanie historii, jednej z wielu podobnych historii tysięcy polskich wsi, które uległy zagładzie w latach 1942–1946 na Kresach Wschodnich, w imię obłędnej idei czystki etnicznej, zdaję sobie i wszystkim Polakom następujące pytania:

Dlaczego wśród potępionych i uznanych za zbrodnie i akty ludobójstwa popełnione przez hitlerowskie Niemcy i stalinowski reżim wobec polskiej ludności nadal nie wyjaśniono rozmiarów i nie potępiono zbrodni ludobójstwa i na szeroką skalę zastosowanej czystki etnicznej dokonanej na ludności polskiej przez ukraińskich szowinistów, banderowców spod znaku OUN-UPA?

Dlaczego polski Senat podjął jednostronną uchwałę potępiającą skutki akcji „Wisła”, a jednocześnie zapomniał potępić jej przyczyny i morderców, banderowców spod znaku OUN-UPA?

Odpowiedzi na te pytania, oczekuje wiele setek tysięcy Polaków, którzy na obszarach zamieszkałych również przez ukraińską ludność w granicach Polski przedwrześniowej w latach 1939–1946 stracili swoich najbliższych, z dymem puszczone ich domostwa i zagrabiono dorobek ich życia, nieraz całych pokoleń. Do dziś ciała zamordowanych Polaków od wsi Parośle, przez Hutę Stepańską, i Hutę Pieniacką aż do Baligrodu i Cisny czekają na swój pogrzeb i znak krzyża na grobie. Mija pięćdziesiąta rocznica aktów masowego ludobójstwa, a zbrodniarze nadal nie są napiętnowani.

Historia wsi

Z rodzinnych przekazów wynika, że początki wsi sięgają końca XVII w. Nad istniejącym tu dawniej jeziorem zamieszkiwało kilka rodzin o nazwiskach: Biernacki, Marmucki i Szadurski. Pochodzili z drobnej szlachty herbowej. Fakty te zadecydowały prawdopodobnie o nazwie wsi „Jeżiorany Szlacheckie”. Z biegiem lat w wyniku podziału ziemi w rodzinach oraz napływu nowych rodzin: Budkiewiczów, Błędowskich, Czajkowskich, Izdebskich, Macichowskich, Omańskich, Siateckich, Remiszewskich, Tchórzewskich i innych, wieś zaczęła się powiększać o nowe zagrody.

Na początku XX w., jeszcze przed I wojną światową, osiedli tu nowi mieszkańcy, tworząc dwie kolonie: tzw. Wigurzycką i Polską, nazywaną często Południową. Tak więc wieś ukształtowała się w swojej zabudowie i obszarem jeszcze przed I wojną światową w okresie zaboru rosyjskiego. Przejęcie Wołynia w 1919 r. przez Państwo Polskie, wpłynęło na dalszy rozwój wsi. Uzyskała ona prawa sołeckie. Zdecydowanie przeważała ludność polska.

W 1939 r. wieś liczyła 58 zagród (z ok. 233 mieszkańcami), w tym 11 ukraińskich i czeskich, pozostałe 47 należało do rodzin polskich. W okresie międzywojennym, w latach Państwa Polskiego, przybyły nowe gospodarstwa. Wielu gospodarzy pobudowało murowane, kryte blachą i bardziej nowoczesne budynki mieszkalne i gospodarcze, np. Józef Budkiewicz, Bolesław Tchórzewski i inni czy Józef i Stanisław Biernaccy na tzw. Górze.

Wieś, jak na ówczesne warunki ekonomiczne uważana była za średnio zamożną. Z ogółu gospodarstw ok. 1/3 posiadała od 15 do 30 ha, następna od 8 do 14 ha i pozostała od 4 do 7 ha ziemi. Do

wybuchu wojny niemiecko-polskiej w 1939 r. wyższe studia ukończyły 2 osoby: syn Józefa Budkiewicza został inżynierem i pracował w Warszawie, syn Zenona Biernackiego był lekarzem weterynarii i podjął pracę w sąsiedniej miejscowości. Z rodziny Edwarda Omańskiego syn Zygmunt zdobył stopień oficerski WP. Z drugiej rodziny Omańskich, Bronisław miał średnie wykształcenie. 5 osób ponadto uczęszczało do szkół średnich. Ludność w większości kontynuowała w rodzinach tradycje polskości. Miejscem niedzielnych spotkań Polaków był kościół parafialny w Nieświczu, odległym ok. 5 km. Do siedziby gminy w Czarukowie było ok. 4 km, do miasta zaś z siedzibą powiatu i województwa, Łucka ok. 25 km. Wieś miała dogodnie połączenie z dwoma stacjami kolejowymi na trasie Łuck—Stojanów—Lwów. do Dębowych Karczm — ok. 1,5 km, do Nieświcza ok 3 km.

Wieś rozciągała się od zachodu na wschód na przestrzeni ok 3,5 km wzdłuż drogi od stacji Dębowe Karczmy i Wigurzyce do wsi Poznanka i Ławrów oraz do osady Maczkowce, Jeziorany Polskie i Radomyśle.

Wraz z polami od południa na północ sięgała do 2,5 km. Jeziorany Szlacheckie od wschodu graniczyły polską wsią Poznanka i osadą Maczkowce, od południa częściowo z osadą Maczkowce i Jeziorami Polskimi, od zachodu z lasem Dąbrowa i polami majątku Leona Zwolińskiego, od północnego zachodu z dużą ukraińską wsią Wigurzyce. Od północy z osadą Chrobrow i częściowo z hutorami wsi Czaruków.

Jeziorany Szlacheckie składały się jak gdyby z sześciu części:

- południowo-zachodnia, tzw. kolonia Polska — 13 zagród,
- zachodnio-północna, tzw. kolonia Wigurzycka — 109 zagród,
- środkiem wsi przebiegała dołem droga z zachodu na wschód. Po obu jej stornach leżało rozrzucone na polach 8 zagród,
- w środku wsi od strony południowej położony był hutor ukraiński — 9 zagród
- w centrum wsi na wzgórzach — 12 zagród,
- wschodnia część wsi to dalsze 4 polskie zagrody rozrzucone po polach.

Stosunki polsko-ukraińskie

Okres Państwa Polskiego 1919—1939 r.

Mieszkańcy Jezioran Szlacheckich utrzymywali dość ścisłe i bezpośrednie kontakty z okoliczną ludnością ukraińską. Większość u nich doskonale знала język ukraiński i posługiwała się nim często w rozmowach z sąsiadami Ukraińcami, którzy z kolei znali język polski. W niektórych rodzinach np. u Marmuczych, starzy rozmawiali ze sobą po ukraińsku, czyli po rusku.

Istniała wzajemna pomoc sąsiedzka przy pracach na roli i w gospodarce, świadczone sobie wzajemnie przysługi. Nieraz urządzano wspólne zabawy, dożynki i zapraszano się na uroczystości religijne czy rodzinne.

We wsi mieszkało 9 rodzin ukraińskich, z którymi współzycie układało się poprawnie i po sąsiedzku. Żadna z nich, jak się później okazało, nie wzięła udziału w napadach na mieszkańców Jezioran, a nawet jedna z tych rodzin przez pewien okres ukrywała u siebie jednego z Polaków ocalałego z pogromów. Uratowała mu życie.

We wsi mieszkały dwie rodziny mieszane polsko-ukraińskie. Tomasz Czajkowski — Polak, ożeniony z Ukrainką, w okresie zaboru rosyjskiego, przyjął prawosławie i uczęszczał do cerkwi. Jego synowie ożenili się z Polkami i byli wyznania rzymsko-katolickiego. W odróżnieniu od ojca, który nie poczuwał się do żadnej z narodowości, synowie uważali się za Polaków.

W okresie międzywojennym w latach trzydziestych, doszło do małżeństwa polsko-ukraińskiego Kazimierza Rudnickiego. Zachował on swoje wyznanie, a jego żona Ukrainka swoje, tzn. prawosławne. Syna ochrzcił w kościele, a córkę — postanowili ochrzcić w cerkwi.

W tej wsi nie było zatem żadnych konfliktów religijnych ani narodowościowych. Tak trwało do września 1939 r.

Okres władzy sowieckiej — 17.09.1939 r. — 22.06.1941 r.

Po zajęciu Wołynia przez władze sowieckie stosunki między wiejską ludnością polską a ukraińską wsi znacznie się ochłodziły, kontakty stały się rzadsze. Istotną rolę odegrał tu fakt, że wieś miała własne sołectwa i Polak był sołtysem. Władze sowieckie i wspierająca je część ludności ukraińskiej były bardziej zajęte tzw. ludnością napływową polską, w stosunku do której zaczęto stosować represje. W lutym 1940 r. z dwu sąsiednich osad Maczkowce i Chobrow zostało wywiezionych na Sybir ponad 30 rodzin. W przygotowaniach do wywózki uczestniczyło wielu miejscowych Ukraińców. Podobne listy na zsyłkę były już przygotowane przez miejscowe komitety ukraińskie i w stosunku do mieszkańców Jezioran Szlacheckich.

Od połowy 1940 r. w wyniku działania tzw. podziemia „podpila” ukraińskiego, inspirowanego przez Niemców i OUN przeciwko władzy sowieckiej, zainteresowanie tych władz zostało skierowane na nacjonalistów ukraińskich. Tym razem represje omięły mieszkańców Jezioran.

Okres władzy radzieckiej i ukraińskiej, czerwiec 1941 r. — czerwiec 1943 r.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej wzbudził nastroje nadziei, ale i wiele obaw wśród mieszkańców wsi — Polaków. Niemców obawiano się tak samo, jak Sowieców. Większość Ukraińców od pierwszej chwili uwierzyła, że Niemcy stworzą „Wolną Ukrainę”, co znalazło wyraz w zaangażowaniu się po stronie Niemiec hitlerowskich wielu Ukraińców.

Przejęcie terenowej władzy administracyjnej i policji przez Ukraińców stworzyło wyjątkowo trudną

sytuację Polakom. Od tej chwili zaczęły następować istotne zmiany w stosunkach między mieszkańcami wsi a Ukraińcami z innych wsi. W pierwszym okresie uwidoczniło się to w zdecydowanym popieraniu władz niemieckich i wykorzystywaniu swoich uprawnień z tytułu posiadanej władzy. Znacznie zwiększono świadczenia narzucane na polską wieś w porównaniu z wioskami ukraińskimi. Zauważono zdecydowaną wrogość w odnoszeniu się do Polaków. Liczba zwolenników antypolskich postaw stopniowo wzrastała, w czym celowała przede wszystkim młodzież ukraińska. Trzeba podkreślić, że część Ukraińców, brała w obronę Polaków i przeciwstawiała się szowinistycznej nagonce. Niestety, ta grupa ludzi była stopniowo izolowana i gorę brały hasła antypolskie.

Już od początku 1942 r. hasła w rodzaju „Lachy za Bug”, „Śmierć Lachom” czy „Wyriżem Lachów” stawały się coraz głośniejsze i częstsze. W 1942 r. do wsi zaczęły docierać różne wieści o pojedynczych mordach, a niekiedy na całych rodzinach polskich w innych wsiach. Dokonywali ich nacjonaliści ukraińscy nazywani „bulbowcami”, ale najczęściej „banderowcami”. Fakty te zaczęły budzić poważny niepokój.

Pod koniec czerwca 1942 r. dokonano bandycko-rabunkowego napadu na dom Józefa Budkiewicza, w sierpniu tego roku na dom Stanisława Biernackiego (sołtysa), a w marcu 1943 r. na dom Bolesława Tchórzewskiego. Wszystkich napadów dokonano z bronią palną, grożąc mieszkańcom jej bezpośrednim zastosowaniem.

Janina Budkiewicz, córka Józefa Budkiewicza, bezpośredni świadek tego napadu, opisuje to wydarzenie następująco: „Była noc. Godzin pierwsza. Spałam z rodzicami w pokoju. Nagle obudziło mnie wściekłe ujadanie psów podwórzowych, które w pewnej chwili zamilkło. Sprawdziło to wrażenie, jakby ktoś ze znajdujących się na podwórzu ludzi znał te psy, a one jego. Jak się później okazało, wśród rabusiów był Ukraińiec, który przez wiele lat służył u nas. Po chwili cicho usłyszałam głośny brzęk tłuczonych szyb w oknach. Przez te okna wpadli do mieszkania napastnicy. Było ich kilkunastu, wszyscy z karabinami. Mnie z ojcem i matką zapędzono do jednego pokoju i kazano się położyć twarzami do podłogi. Pod groźbą użycia broni nie wolno nam było podnieść głowy. Nad nami przez cały czas stało trzech z karabinami wycelowanymi w głowy. Wszyscy mówili po polsku. Spłądrowali całe mieszkanie, zabrali wszystkie ubrania, pościel, zastawę stołową, biżuterię i to, co się tylko dało spakować do worków. Po zakończeniu rabunku, bandyci zdemolowali cały dom. Zniszczyli dywany, strzelali do pieców kafelowych i podpálili podłogi. Przed odejściem zabili mego ojca i odjechali kilkoma furmankami...”

W połowie 1942 r. część mieszkańców Jezioran zaczęła zdawać sobie sprawę z narastającego zagrożenia ze strony nacjonalistów ukraińskich. Rozpoczęło się gorączkowe poszukiwanie broni palnej. Ci, co ją mieli, wydostawali ją na noc z ukrycia, a ci, co nie mieli, starali się o jej zdobycie. Od czerwca 1942 r. wielu mężczyzn nie spało nocą w swych domach. Noclegi wybierano na strychach domów,

stajni, obór, w stogach słomy itp. Nieraz zbierano się po kilka osób lub rodzin w murowanych budynkach, np. u Franciszka Tchórzewskiego. Pełniono warty ostrzegawcze wokół swych zagród, nocą zawsze trzymano w pogotowiu posiadaną broń.

Z początkiem 1943 r. słowo „banderowiec” stało się synonimem strachu, zagrożenia i śmierci. Było to określenie bandyty i mordercy. Nazwę tą na ogół rzadko przywiązywano od określonego Ukraińca. Za zwyczaj był to człowiek anonimowy, jakiś Ukraińiec, ale z innej wsi, nieznany. Dopiero podczas napadu na Kolonię Wigurzycką rozpoznano Ukraińca – sąsiada z pobliskiej wsi Wigurzyce.

Szeroko upowszechniano hasła, że Polacy urodzeni na Wołyniu i mieszkający tu przed pierwszą wojną światową mogą być spokojni, że nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo. Niestety, słowa te okazały się podstępne i fałszywe, miały na celu uspokojenie opinii i uspienie czujności wieśniaków.

Do ostatniej chwili, znaczna część gospodarzy, zwłaszcza starszych wiekiem i najbogatszych, nie wierzyła w możliwość masowego mordu. Byli przekonani, że to tylko porachunki osobiste, które mogą dotyczyć jedynie tych, co byli w „strzelcach” lub „krausach”, czy też zbyt głośno deklarujących swą polskość. Powoływali się przy tym na swe doświadczenie z pierwszej wojny światowej. Takie poglądy wpłynęły na zaniechanie zakupu broni. Starzy ojcowie wydawali swym synom nawet polecenie wyrzucenia posiadanej broni.

Wielu młodych chłopców w wielkiej tajemnicy przed rodzicami broń jednak zachowało, co później okazało się zbawienne. Posiadana broń uratowała bowiem życie wielu mieszkańcom, podczas napadu banderowców.

Czy wieś była przygotowana do samoobrony?

Do dnia napadu 19.06.1943 r. we wsi nie było w sensie strukturalnym i organizacyjnym ani samoobrony, ani sprawnie działającej komórki AK. Kilka osób w wielkiej tajemnicy należało do AK. Nie miało to jednak istotnego wpływu na praktyczną działalność obronną we wsi. Jedynym przejawem jakiegoś działania był wyjazd dwóch młodych ludzi pod koniec maja 1943 r. do Łucka celem wstąpienia do oddziału partyzanckiego, organizowanego przez inspektorat AK. Byli to Romuald Tchórzewski i Zdzisław Macichowski.

Mieszkańcy posiadali zaledwie 20-25 sztuk różnej broni palnej, ukrywanej przed sąsiadami, i własną rodziną. Posiadaczami była głównie młodzież i niektórzy bardziej światli mężczyźni, np. Franciszek Tchórzewski, Zenon Omański i kilku innych. Większość starszych gospodarzy – jak już wspomniano – była przeciwna posiadaniu broni. Uważali oni, że to może sprowokować napad banderowców. Obawiano się też donosów Ukraińców do Niemców i policji ukraińskiej. Znajdzenie broni oznaczało wreszcie aresztowanie i w konsekwencji śmierć.

Posiadaną broń stanowiły głównie karabiny rosyjskie z I i II wojny światowej, często składane

z różnych egzemplarzy. Pozostała broń to kilka karabinów austriackich z I wojny światowej, jeden karabin francuski typu „Libella” przerobiony na rosyjską amunicję, kilka pistoletów oraz parę sztuk broni myśliwskiej. Broń ta z pewnością wystarczała do odparcia pojedynczych lub niewielkich grup napastników, ale w przypadku dużej bandy uzbrojonej w broń maszynową nie mogła stanowić skutecznej obrony.

Posiadacze broni byli rozrzućeni po całej wsi. Najwięcej broni bo ok. 14 sztuk posiadali mieszkańcy tzw. centralnych Jezioran. Na kol. Wigurzyce dysponowano 3 karabinami, na kol. Polskiej 2 karabinami, w zachodniej części wsi w rejonie zagród Marmuckiego i Franciszka Tchórzewskiego były może 4 sztuki broni, na tzw. Karczunku 2 sztuki.

Obrona wsi ograniczała się wyłącznie do pilnowania własnych zagród, i to nocą.

Nie przewidywano możliwości napadu w dzień, a broń była ukryta na wypadek rewizji.

Pierwszy napad banderowców — 19 czerwca 1943 r.

Między godziną 8 a 9 rano około pięćdziesięcioosobowa grupa banderowców uzbrojona w karabiny, dokonała jednocześnie napadu w czterech punktach wsi od strony zachodniej. Napastnicy podzieleni na mniejsze grupy zaatakowali mieszkańców wsi z zaskoczenia. Napadu o tej porze nikt się nie spodziewał. Większość z nastaniem ranka pochowała broń, wróciła do domów i położyła się spać zmęczona nocnym czuwaniem lub przystąpiła do pracy.

Napad na tzw. kolonię południową był całkowitym zaskoczeniem dla jej mieszkańców. Banderowcy wyłapali wszystkich obecnych w tym czasie Polaków i spędzili do jednej stodoły. Zamordowali wtedy 24 osoby, a ich ciała spalili wraz z budynkiem. Ocalały prawdopodobnie 4 osoby, które zdołały się ukryć przed mordercami. Należały do nich dwie dziewczynki: Marysia Niewiadomska — lat 14, córka Pelagii — wdowy, i Zosia Słomska — ok. 12 lat, córka Józefa. Obie dotarły do wsi Nieświcz, odległej ok. 5 km, w której miały krewnych. Kolonia liczyła 13 zagród i ok. 56 mieszkańców. Tego dnia część mieszkańców przebywała w Łucku lub Nieświczu. Niektórzy pozostawiający tam rodziny wrócili do domów po żywność lub inne rzeczy, a spotkali śmierć, np. Władysław Niewiadomski (ok. 30 lat) zostawił w Łucku żonę i córkę, a sam powrócił po żywność. Zginęli wówczas: pięćosobowa rodzina Andrzeja Kursy, małżeństwa: Kowalczyków, Jana Żłobckiego, Józefa Tomczaka, Józefa Słomskiego, Pastuszków oraz babcia Łatwińska z wnuczką Kowalską i Pelagia Niewiadomska (wdowa) z synem i dwoma córkami.

Z 13 rodzin całkowitej zagładzie uległy dwie, 8 rodzin straciło od jednej do czterech osób. Tylko trzy rodziny ocalały w całości. W napaści brało udział ok. 12 banderowców. Na kolonii były 2 karabiny, lecz w wyniku zaskoczenia nie zrobiono z nich użytku.

Na kolonię Wigurzycką nie udał się napad z zaskoczenia. Dzięki szczęśliwemu przypadkowi miesz-

kańcy zostali ostrzeżeni i zdołali zbiec, ukrywając się w zbożach. Banderowcy zamordowali jedynie 4 osoby, które pozostały w domach. Należeli do nich: Antoni Rudnicki — „Kulawy” (ok. 40 lat), zastrzelony na podwórzu swego domu. Uważał że mu nic nie grozi. Jadwiga Janiewicz (ok. 70 lat). Zastrzelona na progu swego domu. Nie uciekała, gdyż sądziła, że jej starej nie powinni zrobić krzywdy. Dwie siostry, Elżbieta (lat 32) i Janina (lat 28) Omańskie, zakłute bagnietami w domu sąsiada Izdebskiego, gdzie schroniły się przed napastnikami. Jedna z nich była chora i nie mogła uciekać, druga nie chciała jej zostawić samej. Obie zginęły.

O tym wydarzeniu wspomina naoczny świadek, ich siostrzeniec Henryk. „Razem z babcią Marią i ciotkami Elżbietą i Jasią pracowałem w ogrodzie przy pielieniu warzyw. Ok. godz. 9 rano usłyszeliśmy od strony pola sąsiada Sebastiańskiego kilka strzałów karabinowych. Ich odgłos skłonił nas do ucieczki na podwórze domu. W tym czasie wpadł do nas przerażony i blady nasz znajomy Szadurski — kuzyn sąsiada Sebastiańskiego, głośno wołając: »Uciekajcie Banderowcy!« — i sam pobiegł w zboża. Byliśmy zaskoczeni. Nikt się nie spodziewał napaści w biały dzień. Do mojej świadomości dotarła groza położenia. Do sąsada, gdzie już mogli być banderowcy, było zaledwie do 80 m. Wujek Zenek Omański trzymał już w ręku karabin i w pośpiechu wypędzał konie i bydło z obory. Szybko na jego polecenie chwyciłem za swój karabin i pomagałem mu wypędzać bydło, które jak na złość nie chciało wychodzić. Uporaliśmy się jednak z tym dość sprawnie. Wujek Zenek polecił babci i ciotkom uciekać wzdłuż północnej granicy kolonii. Po dojściu do zagrody Izdebskich miały one przejść przez drogę i schronić się w wielkim zagonie wysokiego żyta. My obaj wpadliśmy do sadu naszego sąsiada, aby znaleźć schronienie za drzewami. Czekaliśmy z karabinami gotowymi do strzału. W tym czasie wybiegł z domu blady jak ściana Kazik Rudnicki, nasz sąsiad. Wujek krzyknął do niego głośno. »Kazik! Gdzie twój karabin« Ten natychmiast zawrócił do domu i za chwilę wybiegł z karabinem. Wujek oddał kilka strzałów w kierunku zagrody Sebastiańskiego, gdzie byli już banderowcy. Być może to ich zatrzymało na chwilę. Kazik stał z karabinem jak sparaliżowany. Wujek krzyknął do niego ostro. »Kazik! Strzelaj!« Ten nagle machnął karabinem rzucając go w głąb krzewów i uciekł. Byliśmy obaj zaskoczeni jego postawą. To dziwne »tchórzostwo«, jak się później okazało, miało swoje głębokie uzasadnienie. Kazik odbył służbę wojskową i był znany z odwagi w swoim środowisku. Ożenił się z Ukrainką, z którą miał synka. Jego szwagrowie należeli do OUN, byli zaciekłymi nacjonalistami. Być może zgodnie z ich poleceniem miał strzelać do nas(?) Może ruszyło go sumienie i nie był w stanie tego zrobić? Może obawiał się ryzyka, bo było nas dwóch? Może sądził, że nie miesząc się do walki, ocali siebie i rodzinie życie? Na te pytania do dziś dnia nie jestem w stanie dać jednoznacznej odpowiedzi, dlaczego tak postąpił. Może był konfidentem Ukraińców? Faktem jest, że wcześniej przez długi czas starał się nawiązać z wujkiem rozmowy na temat broni. Nieraz mówił do

wujka: »gdyby tak mieć jakiś automat lub karabin, to nie trzeba by się bać banderowców«. To wskazywało, że sonduje, czy mamy broń. Przez pół roku ukrywaliśmy przed nim posiadanie broni. Aż wreszcie wujek zdecydował się dać mu karabin. Było to miesiąc wcześniej przed napadem. Sądził, że to go bardziej zwiąże z nami niż z Ukraińcami. Jak się później okazało, była to błędna decyzja».

Kazik Rudnicki wraz z żoną i dzieckiem ocalał z tego pogromu. Schronił się u swoich szwagrów Ukraińców. Przeżył pod ich opieką jeszcze ok. dwóch miesięcy. W sierpniu 1943 r. został zamordowany na polu podczas pracy przy zbiorach. Chodziły różne pogłoski na temat tego śmierci. Jedni twierdzili, że zrobili to banderowcy z innej wsi, inni że dokonali tego jego szwagrowie w tajemnicy przed swoją siostrą. Podobno nie mieli wyboru, otrzymali taki rozkaz z UPA.

Dalszy przebieg napadu wspomina Zenon Omański. »Po ucieczce Kazika Rudnickiego i nieudanej próbie odnalezienia wyrzuconego przez niego karabinu, musieliśmy opuścić sad. Udaliśmy się umówioną trasą na spotkanie z moją mamą i siostrami w zbożach za domem Izdebskiego. Spotkaliśmy się pod domem Izdebskiego i wszyscy mieliśmy zamiar schronić się w łanie zboża. Tymczasem zasłabła moja siostra Elżbieta, chora na serce. Nie mogła iść dalej. Podjęła decyzję ukrycia się w domu Izdebskiego, prosząc nas, abyśmy uciekali bez niej. Byłem przekonany, że napad dotyczy wyłącznie mojej osoby. Początkowo nie chciałem się na to zgodzić. Mamie poleciłem ukryć się w zbożu, co też zrobiła. Siostra zdecydowanie jednak odmawiała pójścia z nami, oświadczając, że będzie dla nas przeszkodą, że przez nią możemy wszyscy zginąć. Prosiła, abyśmy bez niej uciekali. Siostra Janina zdecydowała się pozostać razem z chorą Elżbietą. W tej sytuacji wysłałem mego siostrzeńca Henryka do Marmuckich z prośbą o pomoc. Dwaj Marmuccy posiadali broń. Siostry schroniły się w budynku Izdebskiego. Dom był zbudowany z surowej cegły o grubych ścianach, które dawały gwarancję przed kulami karabinowymi. Sam ukryłem się za węgłem domu, oczekując z karabinem na banderowców. Po chwili ujrzałem idących drogą czterech ludzi z karabinami. Miałem nad nimi przewagę. Dom stał na wzgórzu i posiadałem dobre pole ostrzału, sam byłem niewidoczny. Kiedy zbliżyli się na odległość ok. 150-200 m, oddałem w ich kierunku kilka strzałów. To ich zatrzymało. Upadli na ziemię. Przez kilka minut trzymałem ich w szachu. W pewnym momencie zaciął mi się karabin. Nie mogłem wyciągnąć łuski po wystrzale. Próby odblokowania zamka nie udawały się. Obawiając się zaskoczenia od tyłu, ukryłem się z boku w gęstym ziele. Po chwili szamotania się z zamkiem udało mi się usunąć zacięcie. Musiało to jednak trwać przez dłuższą chwilę. Banderowcy nie słysząc strzałów z mojej strony zdecydowali się na skok pod dom. Wpadli do środka budynku, gdzie zastali moje obie siostry. Zakłuli je bagnietami i szybko wybiegli na podwórze. Kiedy wychodzili z domu zdążyłem odblokować zamek. Oddałem do nich kilka strzałów. Jeden został ranny, bo dwóch go chwyciło pod ramiona i zaczęło

uciekać. Czwarty ochraniał ich, strzelając do mnie i razem z nimi wycofał się».

Obie siostry Omańskie otrzymały po 5-6 ciosów bagnietem w okolicę serca. Mordercy podobno chwaliли się – jak przekazał jeden ze znajomych Ukraińców – »były to harne diwczata, ale nasze sztyhi, szesc razy ich uhodyły...». Wśród napastników Zenon Omański rozpoznał znajomego sąsiada Ukraińca ze wsi Wigurzyce. Za Sowietów uchodził on za aktywnego komunistę, za Niemców stał się zajadłym nacjonalistą.

Zenon Omański po ujrzeniu zamordowanych siostr przez dłuższy czas nie mógł dojść do siebie. Miał wyrzuty sumienia, że stało się to na jego oczach. Położył się przed kłodą drzewa w pobliżu budynku i czekał na powrót morderców. Z tego oszołomienia wyrwał go dopiero powrót siostrzeńca Henryka i jego relacja, że o mały włos, a wpadłby w ręce banderowców. Tak to wspomina: »do Marmuckich na skróty przez pola było ok. 1 km. Droga prowadziła wśród łąnów wysokiego żyta. Dojście do zagrody Marmuckich było zakryte. Nie zauważona przez nikogo szybko dotarłem polną drogą prawie pod samo obejście. Od zamkniętej bramy dzieliło mnie ok. 50-60 m. Zatrzymałem się na niewielkim wzgórzu. Kiedy uważnie przejrzałem się, co się dzieje na podwórzu, na moment zdrętwiałem. Przez lukę między stodołą a oborą widać było wyraźnie uzbrojonych banderowców. Obaj Marmuccy, jak się później okazało, już nie żyli. Banderowcy zauważyli również mnie. Jeden z nich zaczął do mnie machać ręką, wołając po ukraińsku »hody siudy«. Nie miałem żadnych złudzeń. To byli banderowcy. W jednej chwili zdałem sobie sprawę z grozy mego położenia. Nadzieja na odsiecz, przysła jak mydlana bańka. Musiałem sam myśleć, jak wybrnąć z tej niebezpiecznej opresji. Pierwszy mój odruch, to chęć do ucieczki. Nogi aż same do tego się rwały. Przeważył instynkt samozachowawczy. Jakiś wewnętrzny głos, może boska łaska, podszepnął mi. Nie uciekaj! Idź wolno! Dopiero, jak skryjesz się za pagórek i będziesz niewidoczny, wtedy goń co sił. Machnąłem do nich ręką, wołając po ukraińsku »zara do was pryjdu« i spokojnie odwróciłem się, wolno opuszczałem pagórek. Byłem jak na dłoni. Stanowiłem doskonały cel przez chwilę. To spokojne zachowanie prawdopodobnie mnie uratowało. Widocznie sądzili, że jestem jednym z banderowców, co poszli na kolonię. Kiedy opuściłem pagórek, obejrzałem się, czy jestem widoczny. Wzgórze już mnie zasłaniało. Poczułem się nieco bezpieczniej i zacząłem biec jak szalony w kierunku zagrody Izdebskiego. Ogarniał mnie coraz bardziej paniczny strach. Nie byłem pewny, co tam się dzieje. Różne złe i czarne myśli zaczęły mnie nahcodzić. Nagle usłyszałem rozdzierający, pełen bólu i rozpacz szloch. Poznałem głos mego wujka. Dochodził spod domu Izdebskiego. Poczułem się bezpieczniej. A więc wujek żyje! Ogarnął mnie przy tym straszliwy gniew i złość na samego siebie. Za moje gapiostwo. Kiedy zabierałem karabin ze schowka, zapomniałem zabrać wycior do niego. Był niezbędny przy moim karabinie. Po każdym wystrzale musiałem łuskę wybijać wyciorem. W praktyce mo-

głem liczyć tylko na jeden nabój, choć miałem w torbie ponad 50 sztuk. W rzeczywistości byłem bezbronny. Świadomość tego paraliżowała moje ruchy. Gdy podszedłem do wujka i przemówiłem do niego, spojrzał na mnie i powiedział cicho »twoje ciotki już nie żyją«. Wstał w milczeniu i obaj schroniliśmy się w zboża, gdzie czekała na nas moja babcia Maria, a mama mego wujka...”

Banderowcy po tej próbie oporu ze strony Zenona Omańskiego (było ich ok. sześciu) wycofali się i zrezygnowali z penetracji dalszych dwóch zagród. Kolonia liczyła 9 zagród i ok. 32 mieszkańców – tego dnia zginęły cztery osoby.

W tym samym czasie kilkunastoosobowa grupa banderowców uzbrojonych w karabiny i widły napałała na polskie zagrody w tzw. Karczunku. Mieszkały tam trzy rodziny. Wykorzystując zaskoczenie banderowcy zdołali zamordować trzy osoby. Byli to: Edward Omański, który podczas ucieczki został ranny, schronił się w gęstych konopiach, ale odnaleziony przez banderowców zginął zakłuty sztynchami karabinów; jego rodzice: ojciec Michał (88 lat) i matka Franciszka (lat 76) Omańscy skryli się w zbożu, lecz wykryci przez morderców zostali doprowadzeni do podpalonej stodoły i wrzuceni do ognia. Spłonęli żywcem. Pozostali mieszkańcy zdołali zbiec i ukryć się w zbożach. Napastnicy ograbili wszystkie zagrody, a następnie spalili. Urządzili sobie zabawę na podwórzu zagrody Omańskiego, wykorzystując do tego pozostawione instrumenty muzyczne. Śpiewali, tańczyli, jedli i pili przy palących się trupach swoich ofiar.

Czwartą najliczniejszą grupą banderowców, liczącą ponad 20 ludzi, zaatakowała zachodnio-środkową część wsi. Z uwagi na duże odległości między zagrodami musiała się podzielić na mniejsze grupki. Pełne zaskoczenie spotkało dwie pierwsze zagrody: Józefa Budkiewicza i Jana Marmuckiego. Ocalała z pogromu Janina Budkiewicz wspomina: „Byłam w domu sama. Moja mama stała przy studni i coś robiła. Ojciec kosił mieszkankę w sadzie. Nagle usłyszałam jakieś obce głosy. Wyjrzałam przez okno. Na podwórzu stało kilku uzbrojonych banderowców. Jeden z nich głośno pytał moją mamę »hcie wasza doczka?« Słyszałam, jak mama odpowiedziała mu: »Jej nie ma. Wyjechała do Łucka«. Zdałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Szybko wyskoczyłam przez okno i ukryłam się w zbożu w pobliżu stodoły. Za chwilę usłyszałam kilka strzałów, potem skowyt psów. W kilka minut później zaczęła płonąć stodoła. Byłam w pobliżu. Bałam się ruszyć z miejsca, aby mnie nie zauważyli. poparzyły mnie wtedy dotkliwie spadające żagwie ognia. Banderowcy zapalili też i inne budynki, ale te szybko zgasły, bo były murowane. Konie i bydło wyprowadzili i zabrali. Kurnik z drobiem spłonął. Z domu wyniesiono wszystko, co miało jakąś wartość. Po odejściu banderowców znalazłam ciało mego ojca. Był ciężko ranny, w czoło miał wbity duży gwóźdź. Jeszcze żył. Po chwili skonał na mych rękach. W kieszeni jego ubrania, wetkniętą miał karteczkę z napisem ukraińskim: »On mene chlibom kormył, a ja jewo za to ubył«. Moją mamę znalazłam zastrzeloną w pobliżu stodoły, była na wpół

zweglona od żaru płonącej stodoły. W napaści brał udział nasz były długoletni służący, którego ojciec traktował prawie jak syna, wyprawił mu nawet huczne wesele...”

Pięciu banderowców wpadło na podwórze Jana Marmuckiego, który jedyny ocalał. Tak wspomina to wydarzenie: „Przebywałem w mieszkaniu i przez okno widziałem przebieg napadu. W pewnej chwili usłyszałem wystrzał karabinowy. Wyjrzałem przez okno na podwórze. Moi synowie czyścili konie. Przy nich pojawiło się kilku uzbrojonych ludzi. Widziałem jak od strzału upadł mój syn Feliks. Władysław uciekał w kierunku mieszkania. Na odgłos strzału wybiegła moja żona i stanęła na progu ganku, aby zobaczyć, co się dzieje. Na jej oczach, tuż prawie przed gankiem, został trafiony kulą mordercy syn Władysław, upadł prawie przed matką. Banderowcy zastrzelili też moją żonę, która na widok śmierci dwóch synów stała jak skamieniała, chociaż miała szansę ucieczki. Ja wyskoczyłem przez okno i ukryłem się w gęstwinie malin. Ze mną uciekła nasza służąca Bąk (ok. 20 lat). Bandyci zastrzelili wtedy mego wnuczka Zbyszka Krzysztofowicza (lat 8) i młodszą siostrę Bąk (lat 14)...”

Po drugiej stronie drogi, na wzgórzu, stał murewany dom Franciszka Tchórzewskiego. To wydarzenie wspomina Zygfryd Tchórzewski, który miał wówczas 10 lat. „W naszym domu od wczesnej wiosny 1943 r. na każdą noc schodzili się sąsiedzi. Zawsze było po kilka rodzin. 19 czerwca 1943 r. jak zawsze wczesny rankiem nocujący u nas sąsiedzi rozeszli się do domów, szczęśliwi, że noc przeszła spokojnie. Mój ojciec ukrył karabiny, amunicję i granaty w piwnicy, tak aby w razie rewizji Niemców czy policji nie mogli tego znaleźć. Tego dnia przebywało jeszcze u nas dwóch mężczyzn: Czesław Niewiadowski z kolonii i Tadeusz Szadurski, który mieszkał u nas. Około godz. 9-tej przebywałem razem z mamą na podwórzu. Kiedy patrzyliśmy w kierunku zagrody Jana Marmuckiego, zauważyliśmy jadące dołem drogą dwa wozy konne. Na każdym z nich siedziało co najmniej po 5-ciu zbrojnych w karabiny ludzi. Niektórzy mieli hełmy na głowach, umundurowanie mieli niemieckie. Oboje z mamą byliśmy przekonani, że to są żołnierze niemieccy. Nagle wozy zatrzymały się przed drogą do Marmuckich. Z wozu zeskoczyło kilku i pobiegło do zagrody. Po chwili usłyszeliśmy z mamą kilka wystrzałów karabinowych. Do dziś pamiętam i nie mogę zapomnieć dwukrotnie usłyszany jęk ludzki. Wtedy moja mama krzyknęła – To banderowcy! Zawołała do ojca aby uciekać. Ale ojciec wpadł do mieszkania, zabrał z piwnicy karabin i amunicję, zamknął okiennice i zaryglował drzwi. Obaj mężczyźni którzy byli u nas uciekli w zboża w kierunku kolonii. Jak się później dowiedziałem wpadli w ręce banderowców i zginęli. Ojciec zabrał mnie i mamę i też zaczęliśmy uciekać w kierunku wsi Jeziorany. Po kilkudziesięciu krokach od domu zaczęły nam gwizdać kule nad głowami. Położyliśmy się na ziemię a ojciec oddał kilka strzałów w kierunku 4 banderowców, którzy strzelali do nas z naszego podwórka. Mój tata był dobrym strzelcem i po pierwszych strzałach było już ich trzech. Na chwilę

ucichła strzelanina i wtedy odbiegliśmy kilka metrów, ale znowu zaczęły bzykać kule. Ojciec ponownie strzelił i drugi napastnik padł na ziemię. Od tej chwili przestali strzelać i mogliśmy biec przez pole. Prawdopodobnie strzały mego ojca były trafne, ranił dwóch a może i zabił”.

Inni banderowcy napadli na zagrody dwóch Biernackich: Zenona Biernackiego, z którego dziewięcioosobowej rodziny sześć osób zdołało zbiec i ukryć się w zbożach, trzy natomiast zostały zamordowane (dwaj bracia Zenona – Bronisław (ok. 50 lat) i Józef (ok. 55 lat) wraz z synem Emilem (lat 25) i Stanisława Biernackiego (sołtysa), który został zastrzelony na podwórzu swej zagrody, ale 5 osób ocalało – żona, dwie córki, zięć i wnuk. Zdążyli ukryć się w zbożu.

Ostatnia zagroda w tym rejonie należała do Tomasza Siateckiego i jego rodziny złożonej z sześciu osób, w tym żony Marii, córki Haliny, dwóch synów Jana i Mieczysława oraz babci Antoniny Biernackiej. Wydarzenia wspomina Mieczysław Siatecki: „Po powrocie o godz. 6 z placówki, która mieściła się w murowanym budynku Franciszka Tchórzowskiego, obaj z bratem pracowaliśmy przez dwie godziny przy obsypywaniu zimniaków. Zmęczeni nocnym czuwaniem i pracą położyliśmy się spać po godzinie 8. Ok. godz. 9 obudziła nas matka, informując, że w zachodniej części wsi słychać strzały karabinowe. Byliśmy pewni, że to napad. Szybko chwyciliśmy za swoją broń. Razem z ojcem zaprzęgliśmy konie do wozu, na który wrzucono niezbędną odzież i żywność. Ojciec pootwierał drzwi do obory i stajni wypuścił żywy inwentarz na podwórze. Szybko wyjechaliśmy w kierunku wschodnim do centrum wsi. Widzieliśmy już uciekających innych mieszkańców.

Koncentracja uciekinierów nastąpiła głównie w zagrodach dwóch Biernackich na górze. W centrum wsi wszyscy zostali już ostrzeżeni. Większość mężczyzn z bronią palną zgrupowała się na wzgórzu wokół domów: Marmuckiego i Błędowskiego. Wzgórze górowało nad częścią środkową wsi, skąd było doskonałe pole ostrzału. Droga przechodziła dołem dwoma wzgórzami, nadawała się do zablokowania i na zasadzkę. Między godz. 10.30-11.00 na drodze pojawiły się dwie furmanki załadowane uzbrojonymi ludźmi. Było ich ok. dwunastu. Furmanka zatrzymała się przed wzgórzem, na którym wieśniacy przygotowywali się do obrony i walki z banderowcami. Z furmanki, jakaś kobieta zaczęła krzyczeć po polsku i machać rękami, aby nie strzelać. Sytuacja była idealna do wystgrzelania wszystkich siedzących na wozach. Obrońcy na wzgórzu zostali dezorientowani, bo z dołu zaczęto wołać po polsku »Nie strzelajcie! Jesteśmy Polakami z ochrony majątku na Uhrynowie!« Jednocześnie wołano: »jak nie wierzycie, niech ktoś zejdzie z góry i sprawdzi«. Na ochotnika zgłosił się Wiktor Marmucki (ok. 34 lat). Znał on wielu Polaków z Uhrynowa (nikt nie wiedział, że tej nocy był napad na Ukrynów, majątek został spalony, a Polacy schronili się w Sienkiewiczówce). Marmucki schował pistolet do kieszeni. Umówiono się, że w razie za-

grożenia, wykona określony ruch lewą ręką. Po dojściu do furmanek stało się to, czego obrońcy na wzgórzu nie przewidzieli. Dwaj rośli mężczyźni nagle zeskoczyli z wozu i szybkim ruchem chwycili pod ręce Marmuckiego i wrzucili go na wóz. Działo się to błyskawicznie; jednocześnie zawrócili wozy i zaczęli szybko odjeżdżać. Wśród obrońców na wzgórzu nastąpiła konsternacja. Dano kilka strzałów ostrzegawczych w kierunku furmanek. Z dołu ktoś zaczął krzyczeć po polsku »Nie strzelaj!« Niektórzy rozpoznali rzekomo głos Wiktora Marmuckiego. Przerwano ogień, obawiano się, że mogą w niego trafić. Jak się za chwilę okazało, był to sprytny podstęp banderowców. Ocalili nie tylko swoje głowy, ale porwali jeszcze zakładnika.

Na drugi dzień Czech Karl przyniósł wiadomość, że na skraju lasu Dąbrowa banderowcy zostawili ciało Wiktora Marmuckiego. Miał obie ręce ucięte.

Kobietą, która wołała z banderowskiego wozu okazała się Polką, mieszkanką Jezioran, z tzw. Karczunku. Była nią Szadurska, żona Anastazego. Z jej relacji wynikało, że została przez banderowców zatrzymana na drodze. Zapytano ją, czy jest Polką: Szadurska zorientowała się, że ma do czynienia z banderowcami i odpowiedziała, że jest Ukrainką. Poddano ją szczegółowemu egzaminowi, m.in. kazano jej modlić się po ukraińsku. Znała doskonale język ukraiński, a także wiele modlitw w tym języku, egzamin wypadł pomyślnie. Kazano jej pokazywać, gdzie są polskie, a gdzie ukraińskie zagrody. Przez cały czas była w wielkim strachu, aby nie spotkać przypadkowo któregoś z miejscowych Ukraińców. Oznaczałoby to zdemaskowanie, oznaczałoby to śmierć! Kiedy wozy banderowskie zostały zatrzymane przez Polaków na wzgórzu, a banderowcy podstępem zwabili Wiktora Marmuckiego i z nim odjechali, Szadurska skorzystała z chwilowego zamieszania, zeskoczyła z wozu i uciekła. To ją ocaliło.

Banderowcy napotykając próby oporu ze strony mieszkańców wsi wycofali się wraz z porwanym zakładnikiem, większość ocalałych mieszkańców zgrupowała się w centrum wsi. Ucieczka banderowców osłabiła panujący strach, ale jednocześnie wywołała dyskusję i zapytania, co robić dalej. Dyskusje trwały do wieczora. Jedni byli za jak najszybszym wyjazdem do Łucka, gdyż uważali, że banderowcy mogą w każdej chwili powrócić. Inni byli przeciwni temu, głosząc że w mieście wszyscy zginą z głodu. Padły liczne propozycje, aby utworzyć placówkę obronną w dwóch gospodarstwach należących do Józefa i Stanisława Biernackich. Zabudowania były duże i wszystkie murowane. Znajdowały się na wysokim wzgórzu, idealnie nadawały się do obrony. Mogły też pomieścić wiele osób i sporo inwentarza.

Obie rodziny Biernackich nie były jednak zbyt zachwycone propozycją goszczenia u siebie uciekinierów. Unikały też jakichkolwiek rozmów na temat utworzenia u nich placówki samoobrony. Zachowały się jakoś dziwnie, jakby im nic nie groziło. Ocalałe rodziny skupiły się zatem w kilku innych wybranych zagrodach, a mężczyźni z posiadaną bronią pełnili warty i patrole przez całą noc.

cdn

Mecenas Tadeusz Piziewicz — 98-letni obrońca Lwowa



Jest jednym z żyjących obrońców Lwowa 1918 r. Urodził się w 1895 r. w Stryju. Po śmierci ojca (miał wtedy rok) przeniósł się z matką i o dwa lata starszą siostrą do Lwowa. W 1911 r., będąc w IV klasie VIII Gimnazjum przy ul. Czarneckiego nr 8, wstąpił do pierwszej polskiej drużyny harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki. Był szkolnym bibliotekarzem i wraz z innymi kolegami organizował potajemne spotkania, na których dyskutowano o potrzebie przygotowania się polskiego narodu do walki o niepodległość. W 1917 r. zapisał się do tajnego kółka wojskowego. Maturę zdał w 1918 r.

Rozpoczęcie wojny austriacko-rosyjskiej w 1914 r. przyniosło zmiany sytuacji politycznej zaboru austriackiego. Tadeusz Piziewicz wstąpił do organizującego się we Lwowie Legionu Wschodniego. Gdy w wyniku kontrowersji między kierownictwem Narodowej Demokracji w Warszawie a Centralnym Komitetem we Lwowie wyprowadzono 29 sierpnia 1914 r. sześciotysięczny Legion Wschodni ze Lwowa, Tadeusz Piziewicz pozostał w grupie 500 młodych ludzi pod dowództwem kapitana Józefa Hallera i pełnił obowiązki jego ordynansa.

W efekcie wojny austriacko-rosyjskiej 22 VI 1915 r. Rosjanie po dziesięciomiesięcznej okupacji Lwowa opuścili miasto. 20-letni T. Piziewicz, jak wielu młodych Polaków wcielony został do armii austriackiej i po kilkumiesięcznym szkoleniu wysłany na front. W lecie 1916 r. dostał się do niewoli rosyjskiej, z której udało mu się uciec.

W pierwszych dniach września 1918 r. znalazł się w Bochni, lecz miał zamiar udać się ponownie do Lwowa, by zapisać się na studia prawnicze. Wybuch walk polsko-ukraińskich o Lwów przekreślił jego plany. W Cochni zorganizowano kompanię marszową, dowódcą I plutonu został T. Piziewicz. Miastem, w którym skupiono główne siły osieczy dla broniących się Orląt był Kraków. Stąd dopiero pluton Piziewicza z grupą majora Juliana Stachewicza, po zdobyciu Przemyśla 20 XI 1918 r., dotarł do Lwowa. W ciągu najbliższych dni ukraińscy zamachowcy w wyniku przegranych walk zaczęli opuszczać miasto kierując się na Kaiserwald,

Krzywczyce i Lesienice. W walkach o Lwów T. Piziewicz pozostawał pod rozkazami por. Ludwika de Laveaux, który zlecił mu prace wywiadowcze właśnie na linii Krzywczyce, Lesienice po Winniki.

T. Piziewicz brał również udział w wojnie polsko-bolszewickiej jako dowódca kompanii w okolicach Wyszkowa i Suwałk. Zaraz po wojnie rozpoczął zaplanowane studia prawnicze na Uniwersytecie Lwowskim im. Króla Jana Kazimierza, które ukończył w 1925 r., uzyskując tytuł doktora praw. Droga zawodowa T. Piziewicza po aplikaturze sądowej prowadziła przez Wejherowo, Chełmno i Toruń, w którym latem 1930 r. otrzymał stanowisko wiceprokuratora Sądu Okręgowego. W sierpniu 1933 r. ożenił się tam z córką wybitnego cywilisty dr. Jerzego Wiszniewskiego, z którą ma dwóch synów lekarzy. W czerwcu 1937 r. przeniósł się do Bydgoszczy i objął tam stanowisko wiceprezesa Sądu Okręgowego, na którym pozostał do początku wojny w 1939 r. Lata okupacji przeżył we Lwowie i Krakowie.

Po wojnie stawiał się ponownie do pracy w sądownictwie bydgoskim. Był m.in. przewodniczącym Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Chociaż nie osiągnął wieku emerytalnego, w okresie stalinowskim 30 IV 1951 r. przeniesiono go w stan spoczynku.

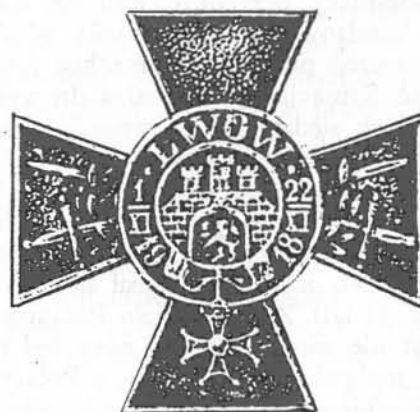
Miał duże trudności z uzyskaniem pracy i z wpisaniem się na listę adwokatów. Dopiero w 1956 r. otrzymał wpis na listę obrońców wojskowych. W następnych latach zakwalifikowano go przymusowo do II grupy inwalidztwa, by zmusić go do rezygnacji z pracy zawodowej.

Mecenas Tadeusz Piziewicz całe życie uprawiał sport, a nade wszystko lubił wyprawy turystyczne w góry — Karpaty Wschodnie i Tatry.

Jest nadal czynnym członkiem Bydgoskiego Oddziału TML i KPW, bierze udział w spotkaniach, dzieląc się swoimi przeżyciami i wspomnieniami, które podaje ciekawie i barwnie.

Posiada następujące odznaczenia: Krzyż Obrony Lwowa, Honorową Odznakę „Orlęta”, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal za Wojnę Obroną 1918—1920.

Z inicjatywy Zarządu Oddziału Bydgoskiego otrzymał z Zarządu Głównego TML i KPW Członkostwo Honorowe oraz Złotą Odznakę TML.



Wizyta

Lakoniczne przedstawianie przez prasę i środki masowego przekazu wydarzeń interesujących szczególnie nas ludzi z Kresów Wschodnich jest już chyba zasadą ich działania. A do tego trzeba dodać takie dobieranie czasu nadawania ważnych i ciekawych audycji radiowych i telewizyjnych, że większość społeczeństwa nie ma możliwości ich oglądania. „Nasza” prasa, jeśli już pisze o sprawach kresowych to tak, jakby to chodziło o wydarzenia w afrykańskim buszu lub na Oceanie Wielkim — nie tylko skrótowo, ale co najsmutniejsze z zafałszowaniami. Zarzuty te nie odnoszą się na szczęście do „Słowa — Dziennika Katolickiego”.

A przecież środki masowego przekazu w wielkim stopniu kształtują zainteresowania, charakter i światopogląd naszej młodzieży i od tego zależeć będzie przyszłość naszego kraju.

Gdy brak lustracji, afery gospodarcze i zła polityka zagraniczna naszego państwa powodują rozgoryczenie osób starszych wyrosłych w patriotycznej atmosferze i walce o wolną Ojczyznę to ich dzieci i wnuki uczą się „miłości Ojczyzny” z podręczników, w których darmo szukalibyśmy rzetelnej informacji o Kresach i ich losach w czasie drugiej wojny światowej.

Dlatego przekazujemy spóźnioną, ale istotną dla nas i naszych Rodaków zza jałtańskiej linii wiadomość o ważnym wydarzeniu, jakim była wizyta Pana Prezydenta L. Wałęsy w Kijowie, Winnicy i we Lwowie. Właśnie o tym ostatnim miejscu wizyty podają trochę więcej szczegółów.

26 maja 1993 r. przebywał we Lwowie Prezydent RP, który kończył oficjalną wizytę na Ukrainie. Odwiedziny miały charakter prywatny, Prezydent uczestniczył we Mszy św. w katedrze łacińskiej, na którą to uroczystość przybyli również zaproszeni przez JE ks. arcybiskupa Mariana Jaworskiego przedstawiciele kościołów wschodnich: kardynał M.J. Lubacziński i arcybiskup W. Sterniuk z kościoła greckokatolickiego, arcybiskup Antoni z ukraińskiej cerkwi prawosławnej i biskup Petro z ukraińskiej autokefalonej cerkwi prawosławnej. Udział we mszy wzięli ponadto bardzo licznie zebrani wierni obydwu obrządków katolickich oraz prawosławni. Mszę św. celebrował metropolita lwowski arcybiskup Marian Jaworski. On to powitał Pana Prezydenta następującymi słowami:

„Panie Prezydencie!

Wszyscy Uczestnicy dzisiejszej uroczystości!

Znajdujemy się w bazylice katedralnej lwowskiej przed cudownym obrazem Pani Łaskawej, Ślicznej Gwiazdy Miasta Lwowa, wobec którego król Jan Kazimierz obrał ją w roku 1656 za patronkę swoją i królestwa polskiego, księstwa litewskiego, ruskiego, pruskiego, mazowieckiego, żmudzkiego, inflanckiego, smoleńskiego, czernichowskiego ... Uznając zaś, że nieszczęścia na kraj spadły

z powodu jęków i ucisku kmieci, ślubował, że po nastaniu pokoju wyzwoli poddanych od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków.

Dzisiaj do tego obrazu przyszedł prezydent Rzeczypospolitej Polskiej wraz ze swoją delegacją i osobami towarzyszącymi. Są przedstawiciele administracji państwowej Ukrainy, hierarchii kościoła wschodniego, duchowieństwo i wierni nie tylko narodowości polskiej, ale ukraińskiej, nie tylko rzymsko-katolicy, ale z kościoła greckokatolickiego i z innych kościołów.

Niedawno Pan Prezydent wyraził się, że zbliżamy się do roku 2000, do wieku, w którym inaczej będzie się rozumiało granice, a narody wspólnie, razem będą budowały swoją przyszłość, będą budowały „nowe”, nową Europę. Ta wizyta Pana Prezydenta, także we Lwowie, tutaj w katedrze jest patrzeniem i działaniem, które mają na względzie tę przyszłość nową, tę przyszłość, którą trzeba tworzyć.

Ma na względzie budowanie braterstwa, pojednania, zgody, sprawiedliwości i poszanowania między narodem polskim i ukraińskim.

Panie Prezydencie, tak odczytujemy wizytę Pana Prezydenta tutaj i w tym upatrujemy jej wielkie znaczenie historyczne, tworzenie nowych czasów.

Król Jan Kazimierz prosił Panią Łaskawą, by pozwoliła mu zrealizować jego szlachetne zamiary. My ze swej strony chcemy polecić ciębie, twoich współpracowników, władze państwa Ukrainy i narody zamieszkujące po obu stronach granic, aby ona wspierała te wysiłki ku nowemu, by pokój, zgoda i wzajemne zaufanie budowały naszą wspólną przyszłość. Oby się tak stało!”

Podczas pobytu we Lwowie Prezydent RP zwiedził kaplicę Boimów, złożył kwiaty pod pomnikami Tarasa Szewczenki i Adama Mickiewicza oraz spotkał się z naszymi Rodakami. Spotkanie to odbyło się w siedzibie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej w Rynku. Nie trwało długo i rozmowę skierował Prezydent na tematy raczej żartobliwe. Między innymi powiedział, że za dwa lata przejedzie tutaj i będzie łowił ryby. Jeden z obecnych Polaków *nota bene* wiceprezes TKPZL objaśnił Prezydenta, że we Lwowie nie ma rzeki. Kilku zasłużonych dla utrzymania polskiej tradycji Lwowa otrzymało z rąk Prezydenta wysokie odznaczenia państwowe. Szkoda tylko, że nie wszyscy, którym się to należało. Zwiedzając Cmentarz Łyczakowski Prezydent złożył kwiaty na grobie-symbolu Strzelców Siczowych, na grobie Marii Konopnickiej i Iwana Franko. Następnie modlił się nad grobami Orląt Lwowskich, zwłaszcza zaś nad mogiłą Pięciu Nieznanych z Persenkówki przed Łukiem Chwały.

Po pobycie na cmentarzu L. Wałęsa udał się do katedry św. Jura. Tutaj po dłuższej rozmowie z kardynałem M.J. Lubaczińskim zwiedził kryptę z grobami arcybiskupa A. Szeptyckiego oraz kardynała S. Slipyja.

Z żalem trzeba dodać, że telewizja lwowska nie nadała żadnej relacji z Mszy św. w katedrze łacińskiej, była tylko migawka z Cmentarza Łyczakowskiego oraz z katedry św. Jura. Telewizja kijowska nadała krótką relację z katedry łacińskiej. Podobnie telewizja polska nie może pochwalić się głębszą refleksją i relacją z tej wizyty.



Prezydent RP Lech Wałęsa przed pomnikiem „Pięciu Nieznanych z Persenkówki” w czasie swej wizyty na cmentarzu Obrońców Lwowa

AKTUALNOŚCI

Kolejne szkoły im. Orląt Lwowskich — Nowy Sącz i Przemyśl

Były to uroczystości, których poziom ideowy, oprawa artystyczna, zaangażowanie młodzieży, uespołu nauczycielskiego, przedstawicieli i władz miejskich określić można jako nadzwyczajny, bo znakomity, zważywszy na trudności, jakie niesie realna rzeczywistość.

Pierwszy był Nowy Sącz. W sobotę 15 maja br. Szkole Podstawowej nr 16, położone w dzielnicy Zawada nadano imię Orląt Lwowskich. Dużo pracy w realizację tego pomysłu włożyli nowosądeckim, lecz przede wszystkim niezmordowanie starał się o to prezes tamtejszego oddziału TML i KPW dr Jerzy Masior.

Dwa tygodnie później — 29 maja br. — podobna uroczystość odbyła się w Przemyślu. Największa i najnowocześniejsza architektonicznie Szkoła Podstawowa — też nr 16 — otrzymała imię Orląt Lwowskich. Obok wielkiego wkładu pracy zespołu nauczycielskiego z dyrektorem na czele, życzliwego stanowiska władz miasta, wiele serca i trudu w organizację przedsięwzięcia włożył przemyski oddział TML, zwłaszcza jego prezes p. Zbigniew Kuchciński.

W obu uroczystościach były momenty wspólne — Msza św. występy artystyczne (do Nowego Sącza przybyły dzieci z polskiej szkoły im. M. Konopnickiej ze Lwowa), a przede wszystkim poświęcenie sztandarów szkół.

Ważne to dla uczczenia młodocianych Obrońców Lwowa w roku, w którym upływa 75 rocznica o zawsze Wierne Miasto.

Inf. własna.



BOLESŁAW OPALEK

Rehabilitacja kpt. Witolda Szeredzkiego vel Orlickiego, ps. „Sulima”

Postanowieniem z dnia 13 stycznia 1993 r. sygn. akt III Ko 297/92/un Sąd Wojewódzki we Wrocławiu Wydział III Karny na wniosek Iwony Szeredzkiej uznał za nieważny wyrok b. Wojskowego Sądu Rejonowego we Wrocławiu z dnia 4 stycznia 1947 r. sygn. akt R 1565/46, którym skazano Witolda Szeredzkiego vel Orlickiego na karę śmierci, utratę praw publicznych na zawsze i przepadek całego mienia.

Proces, na którym ten wyrok zapadł, toczył się przed Wojskowym Sądem Rejonowym we Wrocławiu od 2.01. do 4.01.1947 r. pod nazwą „Proces WiN Dolnego Śląska”.

Jako oskarżeni w tym procesie, występowali aresztowani w czerwcu 1946 r.:

1. ppłk. AK Bolesław Tomaszewski, ps. „Ostroga” — prezes okręgu WiN Dolny Śląsk,
2. kpt. AK Witold Szeredzki vel Orlicki, ps. „Sulima” — prezes rejonu połud. WiN Jelenia Góra,
3. kpt. AK Włodzimierz Woźniak, ps. „Wiktor” i „Dan” — szef kancelarii okręgu WiN, — Włodzimierz Białoszewicz (właśc. naz.),
4. Bolesław Maksymowicz, ps. „Śmiały” — szef łączności okręgu WiN,
5. Stanisław Romanowicz, ps. „Michał” — drukarz prasy WiN,
6. Włodzimierz Spacil — prezes WiN Kozuchów,
7. Jan Witala — prezes zachod. okręgu Dolny Śląsk,
8. Mieczysław Kaziara — prezes WiN Szprotawa,
9. Michał Jakiemow — prezes WiN Żagań,
10. Kazimierz Nator — prezes Pow. Zarz. PSL w Żaganiu.

Ppłk. Bolesław Tomaszewski, ps. „Ostroga” i kpt. Witold Szeredzki, ps. „Sulima”, skazani w tym procesie na karę śmierci, którą po rewizji złagodzone na 15 lat, a po amnestii 1956 r. zwolniono ich z odbywania dalszej kary.

W uzasadnieniu postanowienia Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu z dnia 13 stycznia 1993 r., unieważniającego wyrok z dnia 4 stycznia 1947 r. skazujący kpt. Witolda Szeredzkiego na karę śmierci, przytoczono czyny stnaowiące podstawę wyroku, a to że: „w czasie od lipca 1944 r. do czerwca 1946 r. biorąc udział w nielegalnej organizacji »Warta« na terenie woj. rzeszowskiego, a następnie w organizacji nielegalnej WiN na terenie woj. dolnośląskiego, które to organizacje miały na celu usunięcie organów zwierzchnich Narodu oraz zmianę przemocą ustroju Państwa Polskiego, działał w ramach tej organizacji przez wydawanie nielegalnej prasy, w której nawoływał do czynów skierowanych przeciwko jednoci sojuszniczej Państwa Polskiego ze sprzymierzonym ZSRR — przez gromadzenie wiadomości i dokumentów stanowiących tajemnicę państwową i wojskową oraz nakłaniał swoich podwładnych do zaopatrzenia się w broń przy tworzeniu patroli egzekutywnych” — to jest za przestępstwo z art. 86 2 kkWP, oraz „w celu trwałego uchylania się od obowiązku wojskowego, będąc obowizany do służby wojskowej w czasie od lipca 1944 r. do czerwca 1946 nie uczynił zadość publicznemu wezwaniu do służby na terenie Lwowa, Rzeszowa i woj. dolnośląskiego” — to jest za przestępstwo z art. 118 §1 kkWP.

W konkluzji uzasadnienia postanowienia z dnia 13 stycznia 1993 r. podano, że z opisu czynów wypisanych i przyjętej kwalifikacji prawnej oraz z okoliczności popełnienia tego/tych czynów wynika, że czyny popełnione zostały w związku z działalnością na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego.

Przedstawione zarzuty Wojskowego Sądu Rejonowego dotyczące antypaństwowej działalności w latach 1944–1946 uczestników procesu oraz informacje prasowe z tego procesu nie omawiają roli, jaką pełnili oskarżeni w konspiracji w okresie okupacji.

Trudno wykluczyć, czy ta działalność pozostała bez wpływu na ferowane wyroki. Wiadomo bowiem, jaki był wówczas stosunek przedstawicieli prokuratury i sądów do Armii Krajowej.

Dla pełnego przedstawienia postaci kpt. Witolda Szredzkiego (na podstawie publikacji J. Węsierskiego i S. Pempla) należy przypomnieć jego wcześniejszą działalność w Okręgu Armii Krajowej Lwów, gdzie zajmował kolejno odpowiedzialne stanowiska: IV-IX 1942 — szefa Wydziału II B kontrwywiadu, pod ps. „Kawecki”; III-VIII 1943 — szefa Wydziału III operacyjnego, pod ps. „Czech”; IX 1943 — 31 VIII 1944 — komendanta Inspektoratu Zachodniego, pod ps. „Sulima. W czasie akcji „Burza” w Inspektoracie Zachodnim był dowódcą zgrupowania „San”, które w sierpniu jako III Baon 26 pp. w składzie 7 i 8 kompanii skierowało się z Mościsk trasą Przemyśl, Jarosław, Grodzisko, Leżajsk w kierunku Warszawy, dokąd wzywał zorganizowane oddziały gen. Bór Komorowski.

18 sierpnia 1944 r. Baon pod dowództwem kpt. „Sulimy” został zatrzymany w rejonie miejscowości Rudnik-Sarzyna przez wojsko sowieckie. Doszło do aresztowania oficerów 7 kompanii, rozbrojenia żołnierzy w Rudniku, rozproszenia obu kompanii, a następnie ponownej koncentracji w okolicach Przeworska, rozlokowania na prywatnych kwaterach w rejonie Kańczugi oraz wsi Opaleniska-Zmysłówka. Kpt. „Sulima”, który uniknął aresztowania w Sarzynie, obrał za miejsce kwatery Korniaktów. Na tych terenach kompanie, jako jednostki zgrupowania „Warta”, stacjonowały do jesieni 1944 r. Na skutek przeprowadzenia w tym czasie akcji represyjnych NKGB oddziały przerwały działalność zwartą, przemieszczając się na Ziemię Zachodnią, co też uczynił kpt. Witold Szredzki. Dalszą jego działalność uwidocznił proces.

Kpt. Witold Szredzki, ps. „Sulima”, zmarł 25 lipca 1968 r. w Rzeszowie i spoczywa na cmentarzu Pobitno.

RECENZJE

DANUTA NESPIAK

Alfabet lwowski Jerzego Janickiego

Pełny tytuł książki jest żartobliwy i trochę uwodzieleński — *Cały Lwów na mój głów. Alfabet lwowski*. Wydała ją oficyna wydawnicza BGW w bieżącym roku.

Na tom składa się 86 dość obszernych biogramów oraz 20 krótkich not lwowiaków z urodzenia, z wyboru, a także z sugestii Jerzego Janickiego — lwowiaków genetycznych i duchowych, takich, którzy się tam urodzili i nic z tego nie wynika, choć mogliby z uwagi na swoją pozycję coś dla tego niezapomnianego miasta zrobić, oraz takich, którzy nie metryką, ale działaniem dowiedli, że można.

Autor na wstępie zastrzega się, że książka jest tylko rejestrem „tych, których znam osobiście, cenię i lubię”. Jest to stanowisko nieco egocentryczne, ale wolno autorowi takie kryteria przyjąć. Tylko dlaczego tytuł sugeruje „Cały Lwów”? Jestem przekonana, że autor lubi i szanuje także tych lwowiaków, którzy nie tylko Lwowa nie opuścili, ale w tym dzisiejszym Lwowie na przekór wszystkiemu chcą coś z tej polskiej spuścizny we Lwowie ratować. Dlaczego nie ma o nich najmniejszej wzmianki, choćby krótkiego biogramu Stanisława Czerkasa czy Eugeniusza Cydzika, których Janicki zna dobrze?

A inni Polacy we Lwowie? A poza tym sporo jest niestety w tym „alfabecie” błędów i trochę fantazji historycznych. Wymieńmy tylko niektóre:

s. 13 — Generałowa Renata Andersowa nie została — cytuję — „jak tysiące innych lwowiaków wywieziona do Związku Radzieckiego”. Pani generałowa, wówczas śliczna panna lwowska, razem z Henrykiem Warsem wyjechała na występy artystyczne do Kraju Rad i w ten sposób trafiła później do II Korpusu. Jest chyba różnica między wyjazdem na występy a wywozem.

s. 19 — To nie legenda, że genialny Stefan Banach wstępując na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie nie miał matury. Geniusze nie muszą.

s. 21 — Józef Baraniecki nie jest już prezesem Koła Lwówian w Londynie. Funkcję tę pełni Tadeusz Drzewicki — Minister do Spraw Polaków w Związku Sowieckim w byłym Rządzie Rzeczpospolitej Polskiej na Uchodźstwie.

s. 45 — Nieważne, gdzie się urodziła p. Izabela Cywińska. Ważne jest, że dyrektorami Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie w interesującym nas okresie byli: Wojciech Kętrzyński

w latach 1876—1918 i Ludwik Bernacki w latach 1918—1939. Kiedy więc dyrektorem Ossolineum miał być dziadek p. Cywińskiej — Konrad Łuszczewski? I jeszcze jedno — Janicki pisze, że np. Cywińscy uciekali z małą Izą w 1939 r. ze Lwowa do Rumunii przez Brody. To przecież kierunek na Wołyń.

s. 75 — W Mariówce pod Lwowem nie było nigdy wesela rodziców Adama Hanuszkiewicza. Cytaty z książki lwowianina prof. dr Aleksandra Zakrzewskiego *Mariówka i medycyna* złożył sobie autor dosyć dowolnie, a to zmienia sens wypowiedzi.

s. 109 — Autor chciał poprawić pomyłkę Jacka Kuronia, który w swej książce *Wiara i wino. Do i od komunizmu* napisał, że profesor Rudolf Weigl był Żydem. Przyganiał kocioł garnkowi. Profesor Weigl nie był naturalizowanym Polakiem z Bawarii, jak napisał Janicki, lecz Morawianinem pochodzenia niemieckiego. Jego matka wyszła ponownie za mąż za Polaka Trojnarę i rodzina wyjechała do Polski. Rudolf Weigl nie skorzystał z kuszących propozycji niemieckich utworzenia instytutu pod jego dyktando w Berlinie i podania jego kandydatury do nagrody Nobla. Czuł się Polakiem, a zmarł nie z powodu zawiści rodaków, lecz choroby serca spowodowanej m.in. jego ogromną odrazą do komunizmu. Słynna wypowiedź J. Kuronia o ukraińskim Lwowie ukazała się natomiast w dzienniku „Wysokij Zamok”. Gazeta „Pid zamkom” we Lwowie nie wychodzi.

s. 20 — Cytowana przez Janickiego wypowiedź S. Lema jest fragmentem jego odpowiedzi na ankietę „Tygodnika Powszechnego” pod hasłem „Ojczyzna”, a nie wyjątkiem z jego felietonu. Wypowiedź ta była już przytoczona — „Semper Fidelis” 1992, nr 2.

s. 122 — Niemirów Zdrój leży na południe od Rawy Ruskiej, a nie koło Janowa.

s. 132 — Prof. dr Kazimierz Matusiak nie był nazywany „tumanem” przez wychowawcę w słynnym elitarnym VIII Gimnazjum we Lwowie. Tu poniosła autora fantazja, miało być dowcipnie, ale nie wyszło. Do spotkania po latach profesora z wychowawcą doszło nie w Bydgoszczy, lecz w Toruniu.

s. 139 — Aula Leopoldina we Wrocławiu Uniwersytecie nie jest renesansowa, reprezentuje styl barokowy.

s. 144 — Marszałek Foch nie dekorował Lwowa Krzyżem Virtuti Militari. Uczynił to Józef Piłsudski 22 XI 1920 r., asystował generał hrabia Robert Lamezan Salis.

s. 173 — Stanisław Skrowaczewski lekcje fortepianu we Lwowie pobierał u prof. Florentyny Listowskiej, a nie Zofii Lisowskiej.

s. 193 — Docent Witold Szolginia nie wygłaszał mowy na pogrzebie generała Boruty Spiechowicza. Żegnali go Zdzisław Ojrzynski, Władysław Załogowicz i Wojciech Ziemiński.

s. 246 — Prof. dr Bronisław Biliński był kierownikiem Stacji Naukowej PAN w Rzymie, a nie sekretarzem Polskiego Instytutu Sztuki w tym mieście.

Wypomnieć też należy autorowi, że pierwsze legalne złożenie wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie nie było udziałem delegacji Stołecznego Oddziału TML w 1989 r., lecz 28 XI 1988 r. dokonała tego delegacja Zarządu Głównego TML z Wrocławia wspólnie z przedstawicielami innych oddziałów, wśród których nie było jeszcze oddziału ze stolicy. W ogóle pierwsi, którzy 15 VI 1986 r. złożyli wieńce u stóp Grobu w Warszawie, byli przedstawiciele Kręgu Staroharcerskiego i Lwowskiej Drużyny z Wrocławia.

Książka Jerzego Janickiego napisana jest lekkim, błyskotliwym stylem, ale z dziennikarską nonszalancją. W podtekście autor narzuca czytelnikowi własną wizję siebie jako znawcy całej „lwowskiej materii”. Może i jest takim znawcą, ale tylko na specyficznym odcinku.

Dużo w tym „alfabcie” admiracji i pochwał dla prezentowanych postaci (wśród nich nie wszyscy zasługują na takie laudacje). Jerzy Janicki pisze, że „wśród lwowskich pereł bywały i wieprze”. Tu następuje bardzo brzydkie pomówienie pewnej

osoby o przynależność do partii, o donosicielstwo i koniunkturalizm. Zainteresowani wiedzą, o kogo chodzi. Odbieranie kłode po fachu dobrego imienia na łamach swej książki nie jest piękne, jest naganne.

A w ogóle Lwów to temat trudny, poważny i smutny. *Alfabet lwowski* Janickiego, który miał dokumentować ciężar gatunkowy kultury i wagi tego miasta, jest książką, którą się czyta, ale powierzchowną, miejscami „przedobrzoną” dowcipami z domieszką ponoszącej autora fantazji. To nie „cały Lwów” i temat — niech mi autor wybaczy — nie na „ten głów” i w ogóle nie na jedną głowę.

Mam jeszcze pretensję do korekty. Trochę niedbała. Kilka przykładów: s. 53 — nie *relato refero* ale *relata refero*; s. 72 — Wieszcze, nie Wieszczak; s. 113 — Reissówien, nie Resissówien; s. 175 — Siarczyński, nie Sierczyński; s. 203 — ul. Potockiego, nie Potockiej.

A tak na marginesie zawiedziona jestem, że autor pisząc o barwnej postaci Wojciecha Dzieduszyckiego, twórcy wrocławskiego kabaretu „Dymek z papierosa” nie wspomniał ani słowa o głównej (obok Dzieduszyckiego) atrakcji tego kabaretu, o najzgrabniejszej i najmilszej lwowiance — Hani Dammowej.

Reasumując, oprócz *Alfabetu lwowskiego* Jerzego Janickiego — rzeczy łatwej i lekkiej — środowiska kresowe i społeczeństwo polskie powinny się doczekać wydania rzetelnej, udokumentowanej „Encyklopedii Lwowa”.

APELUJĘ — najwyższy czas zebrać zespół z Polski i zagranicy i wziąć się do dzieła!



JAN KĘDZIERSKI

Sport w książce Jerzego Janickiego „Cały Lwów na mój głów”

Na ogólnopolskim Zjeździe Prezesów Oddziałów i Klubów TML i KPW (Brzeg 19–20 VI br.) Janusz Wasylkowski zapelował do zebranych o korygowanie licznych błędów, jakie pojawiają się w publikacjach dotyczących Lwowa. W związku z tym chciałem sprostować błędy odnoszące się do historii sportu lwowskiego w książce autorstwa Jerzego Janickiego pt. *Cały Lwów na mój głów*.

Uwagi moje przekazałem Autorowi korespondencyjnie w dniu 16 kwietnia br. i jak do tej chwili pozostały one bez odpowiedzi.

W książce tej p. J. Janicki w sposób beztronski potraktował sportowców i działaczy lwowskich w okresie kilkudziesięciu lat przeinaczając fakty i dezinformując Czytelnika.

s. 9–11

- „Pogoń” zdobyła mistrzostwo Polski nie sześciokrotnie, a czterokrotnie. Było to w latach 1922, 1923, 1925, 1926; zaś wicemistrzostwo nie pięciokrotnie, a trzykrotnie — Spirydion Albański nie mógł uczestniczyć w zdobyciu mistrzostwa w 1922 r., ponieważ wówczas miał 15 lat.
- Kałuża nie mógł bombardować bramki „Pogoni” w meczu „Wisły” we Lwowie, ponieważ cały czas był piłkarzem „Cracovii”.
- Na olimpiadzie berlińskiej w 1936 r. na pewno nie walił Albańskiemu na bramkę Leonidas, ponieważ piłkarze brytyjscy w tej olimpiadzie nie startowali. Polacy grali czterokrotnie: z Węgrami (3:0), z Wielką Brytanią (5:4), z Austrią (1:3) i o trzecie miejsce z Norwegią (2:3).

— Leonidas strzelał na polską bramkę, ale było to w 1938 r. na Mistrzostwach Świata we Francji (6:5 po dogrywce dla Brazylii) i polskiej bramki bronił wówczas Madejski z Krakowa (żaden piłkarz lwowski w meczu tym nie wystąpił).

s. 48

Wątpliwym wydaje się być wynik 10,8 sek. w biegu na 100 m Wojciecha Dzieduszyckiego, zważywszy, że jeszcze w 1931 r. rezultat ten był rekordem Polski; no i powinien być zarejestrowany w „tabeli najlepszych” na tym dystansie, a nie figuruje.

s. 152–154

- „Polonia” Bytom pierwszy tytuł mistrza kraju zdobyła w 1954 r., a nie w 1964 r. (drugi raz została mistrzem Polski w 1962 r.).
- Syn prof. Tadeusza Dręgiewicza nie mógł być po wojnie rekordzistą Polski w skoku wzwyż z wynikiem 182 cm, ponieważ już w 1932 r. Jerzy Pławczyk w tej konkurencji uzyskał 196 cm, zostając rekordzistą kraju. Dręgiewicz — junior był skoczkiem wzwyż i został nie rekordzistą, a halowym mistrzem Polski (istotna różnica między pojęciami) w 1948 r. osiągając 185 cm, a nie 182 cm jak informuje Autor.

s. 60

— Kazimierz Kucharski na olimpiadzie berlińskiej 1936 r. zdobył dla Polski czwarte miejsce na dystansie 800 m, a nie 400 m i w czasie startu olimpijskiego był zawodnikiem „Jagiellonii” Białostok, a nie Pogoni” Lwów.

Z ŻYCIA TOWARZYSTWA

DZIAŁALNOŚĆ SEKCJI WSPÓŁPRACY Z POLAKAMI NA WSCHODZIE PRZY ZARZĄDZIE GŁÓWNYM TML I KPW WE WROCŁAWIU W OKRESIE 1992–1993

Sekcja została zorganizowana przy Zarządzie Głównym TML i KPW w połowie 1992 r. Jej powołanie podyktowane zostało potrzebami sytuacji, która wymagała nierzaz szybkiego reagowania na miejscu, we Wrocławiu w związku z możliwościami udzielania pomocy Polakom i parafiom rzymskokatolickim na obszarze b. Kresów Wschodnich II RP. Możliwości takie stwarzają również lokalne stowarzyszenia społeczno-kulturalne jak np. Wrocławski Klub Inteligencji Katolickiej, z którym współpraca układa się bardzo dobrze.

Działalnością Sekcji kieruje członek ZG TML i KPW lekarz medycyny Halina Mędrak (rodowita lwowianka i członek konspiracyjnego Harcerstwa Polskiego we Lwowie w czasie okupacji). W skład zespołu Sekcji wchodzi następujące osoby: Lucyna Czyż, Maria Daniewska, Danuta Fakowska, Emilia Hornowska, Janina i Apolonia Końdziół, Bogumiła Kowalska, Wanda Łaska, Elżbieta Machawczyk, Jadwiga Regulińska, Barbara Szpot-Dunin, Krystyna Strożecka-Jaworska, Wanda Wajda oraz dr med. Witold Żmudziński.

Zarząd Główny TML i KPW nie chcąc obciążać dodatkową działalnością w zakresie tej pomocy Oddział Wrocławski i Kluby, które taką pracę też prowadzą i mają duże osiągnięcia na tym polu, Sekcję kierowaną przez koleżankę Halinę Mędrak uważa jako „grupę stale dyżurującą”. Zresztą w kontekście ogromnych potrzeb, jakie odczuwają nasi rodacy poczynając od Wilna, Nowogródka, Grodna aż po Lwów, Stanisławów i Zaleszczyki, każda forma zorganizowanej pomocy jest bardzo cenna. W związku z tym Sekcja nie ogranicza się w swoim działaniu „terytorialnie” tylko do Kresów Południowo-Wschodnich.

W okresie od czerwca 1992 r. do sierpnia 1993 r. członkowie Sekcji zorganizowali następującą pomoc:

1992

czerwiec

Wysłano 111 paczek z odzieżą do Lwowa.

lipiec – sierpień

W okresie tym sekcja współpracowała z ks. Fr. Głodem, proboszczem parafii św. Elżbiety we Wrocławiu, który zorganizował dla polskich dzieci z Białorusi kolonie w Jelczu. Dzieci zostały przebadane, przekazano im odzież na okres letni oraz upominki. Dzieciom polskim z Mościsk i Kamionki Strumiłowej, przebywającym na kolonii w Sulistrowicach koło Sobótki, przekazano również odzież i słodycze.

wrzesień – październik

Sekcja zorganizowała zbiórkę środków medycznych dla Caritasu Kurii Lwowskiej kierowanej przez ks. Legowicza w Mościskach.

1993

marzec

Wysłano 5 kaset video o treści religijnej dla wiernych przy parafii św. Antoniego we Lwowie.

maj

Dla kościoła i parafii rzymskokatolickiej w Łucku wysłano 12 paczek z odzieżą oraz sprzęt liturgiczny.

czerwiec

Do parafii rzymskokatolickiej w Sielcu w diecezji pińskiej wysłano 50 kompletów ubrań komunijnych oraz upominki o tematyce religijnej dla dzieci przystępujących do I Komunii Świętej.

lipiec

Na ręce ks. Wł. Zawalnika, proboszcza kościoła św. Heleny w Brześciu nad Bugiem wysłano 85 paczek z odzieżą dziecięcą oraz przedmioty sakralne. Dalsza współpraca z ks. Fr. Głodem, który zorganizował kolonie dla dzieci polskich z Nowogródka. Dzieci otoczono opieką lekarską i przeprowadzono badania kardiologiczne i ortopedyczne.

sierpień

Dla kościoła farnego w Nowogródku i jego parafii we wsi Brzozówka przekazano lekarstwa, ornaty, pościel i sukienki komunijne.

Dla kościoła parafialnego w Bóbrce koło Lwowa przekazano ubranka komunijne i słodycze.

Sekcja przy pomocy apeli kierowanych przez lokalny program Polskiego Radia organizuje zbiórki odzieży i żywności, poszukuje również leków, które są segregowane przez lekarzy i farmaceutów. Nawiązano kontakt z właścicielem Hurtowni Artykułów Żywnościowych p. Ryszardem Jabłońskim we Wrześni, który za pośrednictwem Sekcji przekazał w sierpniu konserwy i słodycze dla Polaków przy parafii kościoła Chrystusa Króla w Stanisławowie. Wysyłanie paczek Sekcja organizuje wykorzystując wszelkie nadarzające się ku temu okazje (np. przez biuro turystyczne „Leopolis” p. Seńczuka we Wrocławiu, czy dołączając się do transportów organizowanych przez Wrocławski Komitet d/s Pomocy Parafiom na Wschodzie lub wyjazdów Klubów Kresowych).

Zbiórka darów odbywa się właściwie non-stop. Z końcem sierpnia Sekcja zorganizowała przywóz słodczy ofiarowany przez fabrykę cukierniczą w Nysie, które przeznaczone są na paczki „mikołajowe” dla dzieci polskich za wschodnią granicą. Już szuka się okazji by paczki te wysłać.

[inf. wł.]

KOMUNIKATY

W dniu 1 lutego 1993 r. w Brzegu ogłoszone zostały wyniki konkursu na WSPOMNIENIA KRESOWIAKÓW. Ogółem wpłynęło 21 prac. Czteroosobowa Komisja pod przewodnictwem Pani Zofii Ulok z Kuratorium Oświaty i Wychowania w Opolu, biorąc pod uwagę treść opowiadania, wydarzenia historyczne, przeżycia osobiste i tragedie Polaków na Wchodzie w okresie II wojny światowej, przyznała następujące miejsca i nagrodziła prace:

I miejsce — Aleksander Chmura — „Wspomnienia z Kresów pld.-wsch”,
II miejsce — Jan Szkolnicki — „Dublany”,
III miejsce — Andrzej Chlipalski — „Moje wspomnienia z czasów wojny”,

wyróżnienie — Jadwiga Sibiga — „Droga”

Wszystkie prace zostaną wydane drukiem w książce zatytułowanej „Wspomnienia z Kresów RP”.

* * *

STOWARZYSZENIE UPAMIĘTNIANIA POLAKÓW
POMOROWANYCH NA WOŁYNIU
22-404 ZAMOŚĆ
UL. MIKOŁAJA REJA 13a/9

Stowarzyszenie Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu z siedzibą w Zamościu podaje skład zarządu, do którego wchodzi w większości dawni uczestnicy 27 Dywizji Wołyńskiej AK: *przewodniczący* — Stanisław Pikowski, *zastępcy* — Franciszek Mikulski, Bolesław Tymczuk, *sekretarz* — Teresa Radziszewska,

skarbnik — Janina Raczynska-Gruska, *członkowie* — Bolesław Bielawski, Czesława Biesiaga, Stanisław Czermerys, Stanisław Dadas, Stanisław Filipowicz, Stanisław Kiliański, Maria Kwiecień, Stanisława Mogielnicka, Wacław Romanowski, Zofia Szał, Józefa Wolf, *członek honorowy* — Włodzimierz Dębski, *Komisja rewizyjna* — Kamila Ostasz, Józef Pilczuk, Stefania Sławińska.

Zwracamy się o pomoc w realizacji zadań ujętych w statucie Stowarzyszenia, które dotyczą zbierania relacji z przeżyć tamtych dni tragedii. Kserokopie zebranych materiałów przesłaliśmy do Archiwum Wschodniego, do Światowego Związku AK Okręg Wołyński i Głównej Komisji Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu.

W dalszym ciągu umieszczamy tablice w Krypcie Zamojskiej Rotundy. Prosimy o wykazy osób pomordowanych na Wołyniu z poszczególnych miejscowości (mogą być ujęcia ilościowe).

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, 00-921 Warszawa, ul. Krucza 36, prowadząc ewidencje miejsc pamięci i cmentarzy o pomoc w ich ustaleniu zwraca się do dawnych mieszkańców Wołynia.

Ksiądz Marek Gmitrzuk, który jest obecnie proboszczem kilku parafii rzymskokatolickich na Wołyniu: Różyszcz, Lubomł, Zaturce, Ołyka prosi by u niego zamawiać Msze św. za swoich bliskich, a tym samym wspierać odbudowę kościołów na Wołyniu. Adresy: 363000 Łuck, ul. Katedralna 6, woj. wołyńskie, Ukraina. W Polsce: 22-678 Ulchówek, ul. Zamojska 34, woj. zamojskie. Nr kont: złotówki — BDK Lublin/Chełm 331003-96061-170-4 dewizy — EDK Lublin/Chełm 331003-96061-152-1787

Sekretarz Teresa Radziszewska

APEL

Zwracam się do p.t. Polskich Lekarzy z byłego Związku Radzieckiego oraz p.t. Zainteresowanych z prośbą o pomoc w opracowaniu historii polskiego środowiska lekarskiego w dawnych wschodnich ziemiach Polski oraz w ośrodkach polonijnych w Rosji do 1918 r. i dawnego Związku Radzieckiego.

Zamierzam również opracować martyrologię polskich lekarzy ze wschodnich ziem Polski. Pierwsza Rzeczpospolita Polska zniknęła z mapy Europy w 1795 r. w wyniku trzech rozbiorów Polski między Rosję, Prusy i Austrię. Po każdym z powstań narodowych: kościuszkowskim w 1795 r., listopadowym w 1830 r. i styczniowym z 1863 r. polskich patriotów zsyłano w głąb Rosji. Wśród ofiar powstań i deportowanych przez carat na Sybir byli polscy lekarze. Druga Rzeczpospolita Polska odrodzona w 1918 r. uległa w 1939 r.

czwartemu rozbiorowi pomiędzy Rzeszę Niemiecką i Związek Radziecki. Wśród ofiar stalinizmu byli polscy lekarze.

Proszę uprzejmie o adresy lekarzy lub ich rodzin, wspomnienia o nich, źródła do działalności polskich stowarzyszeń lekarskich itp. Zależy mi m.in. na kontaktach z rodzinami lekarzy nieżyjących w celu zebrania informacji biograficznych oraz z lekarzami aktualnie pracującymi.

Korespondencję proszę kierować pod adresem:

KATEDRA I ZAKŁAD HISTORII MEDYCYNY
ŚLĄSKIEJ AKADEMII MEDYCZNEJ
KIEROWNIK DR MED. KRZYSZTOF BROŻEK
UL. MEDYKÓW
40-752 KATOWICE

PODZIĘKOWANIA

Redakcja „Semper Fidelis” oraz Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich składają serdeczne podziękowania

— panu dr.h.c. dypl. architektowi ETH Zdzisławowi Pręgowskiemu w Winterthurze za wpłatę 500 franków szwajcarskich,

— koledze inż. arch. Andrzejowi Chlipalskiemu za przekazanie swojej nagrody autorskiej w wys. 500 000 zł,
— pani Alicji Burczak z USA (10620 Lake Dr Orlando, Fl 3281) za wpłatę 50 dol. USA.

POSZUKIWANIA

Maryla Garczyńska uczennica gimnazjum Olgi Fillipi we Lwowie poszukuje koleżanek, z którymi w 1938 r. zdawała maturę. Proszę pisać pod adresem:

Maryla Kowalska

5531 W.Oakton, Morton Grove Il 60053, USA

* * *

Poszukuję moich koleżanek z Gimnazjum im. Królowej Jadwigi we Lwowie, siostr JULITTY (ur. 6 VII 1924) i ZOFII (ur. 14 VI 1925) GLISZCZYŃSKICH, córek kapitana WP Henryka, wywiezionych w 1940 r. wraz z matką Julią do Kazachstanu (Semipałatyńska Oblast. Żarninskij Rajon, Rudnik Boko, Toczka/ Czesława Novak
Graniczna 49/49, 40-018 Katowice

* * *

Kto zna losy okupacyjne rodzin krzemienieckich, a zwłaszcza profesorów Liceum im. T. Czackiego w Krzemieńcu albo posiada wiadomości na ich temat proszony jest o przekazanie informacji —

Pani Helenie Walewskiej-Sobolewskiej

ul. Gen. Orlicz Dreszera 22b/17, 81-261 Gdynia

Zbieram informacje o losach grona profesorskiego oraz uczniów IVB, XII Gimnazjum Państwowego im. Stanisława Szczepanowskiego we Lwowie, przy ul. Szulmańskich 7, którzy w roku 1937/38 uzyskali tzw. małą maturę. Gospodarzem klasy był prof. Szmyd, a dyrektorem gimnazjum prof. Hollender.

Zwracam się do Was żyjących drodzy Koledzy (było nas 45) o zgłaszanie własnych danych biograficznych, a także przekazanie informacji o tych kolegach, których już nie ma wśród nas, ale żyją w naszej pamięci.

Proszę również o kontakt z rodzinami kolegów, o wiadomości o nich, zdjęcia i pamiątki, które po zrobieniu kopii odeślę pod wskazany adres.

Planuję spotkanie koleżeńskie oraz opracowanie pamiętnika o naszej „XII budzie” (570); uratujmy ją od zapomnienia.

Naród, który traci pamięć, traci życie.

Mój adres:

Franciszek Orzechowski

41-800 Zabrze

ul. Buchenwaldczyków 40 m 3

KORESPONDENCJA

Redakcja „Semper Fidelis” otrzymała list następującej treści:

Moi Drodzy!

Zapytuję, czy macie możliwość lub jakiś wpływ na naszą pocztę, by paczki żywnościowe wysyłane do Lwowa nie były aż tak drogie (obecnie do 10 kg — 495 000 zł). Opłata pocztowa przewyższa wartość paczki!

Dla mnie i innych emerytów jest to olbrzymia suma, tym bardziej że do Wilna, które leży nieco dalej niż Lwów, za identyczną paczkę do 10 kg — opłata wynosi 160 000 zł.

Odpowiedzi na ten list oczekujemy z Ministerstwa Łączności.

Wielu z nas ma tam jeszcze bardzo starych krewnych (80-letnich), którym chciałoby się pomóc, ale poczta jest bezwzględna!

Może Wasze Towarzystwo Miłośników Lwowa uzyska dla Lwowa taką samą stawkę jak dla Wilna?

Spróbujcie — błagam Was!!!

Zróbcie to dla Rodaków ze Lwowa!

Dziękuję z góry!

Adrianna Dawidowicz

90-438 Łódź

Al. Mickiewicza 11 m 14

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

ODCHODZĄ OSTATNI OBROŃCY LWOWA 1918 R.

26 marca 1993 zmarł w Stalowej Woli Michał Gnot, legionista, żołnierz Obrony Lwowa w 1918 r. Urodził się na ziemi lwowskiej w Kulikowie w 1899 r. Jako uczeń gimnazjum w Żółtkwi związał się z ruchem skautowym. Za przykładem starszego brata wstąpił w 1917 r. do Legionów, gdzie dosłużył się stopnia kaprała. Na wieść o zajęciu Lwowa przez wojska ukraińskie zgłosił się do dowództwa Obrony Lwowa. Został podkomendnym kapitana Boruty Spiechowicza, który mianował go dowódcą drużyny. Następnie dowodząc drużyną i plutonem karabinów maszynowych walczył z bolszewikami w latach 1919–1920. Po wojnie otrzymał awans do stopnia podporucznika i wrócił do Lwowa, gdzie założył rodzinę. W roku 1938 otrzymał od ministra E. Kwiatkowskiego ofertę pracy w Centralnym Okręgu Przemysłowym. W Stalowej Woli przeżył okupację, współpracując z Armią Krajową. Po wojnie był szykanowany, ale nie poszedł na współpracę polityczną z komunistyczną władzą. Do końca życia nosił w sobie wizerunek polskiego Lwowa. W 1989 r. został członkiem Towarzystwa Miłośników Lwowa w Stalowej Woli. Interesował się życiem kresowej wspólnoty. W Towarzystwie darzyliśmy go dużym, szacunkiem. Był dla nas uosobieniem naszych ojców — żołnierzy i Orląt Lwowskich. W roku 1992 został odznaczony Krzyżem Walecznych za udział w wojnie 1918–1920 i awansowany do stopnia kapitana.

Cześć jego pamięci!

Bolesław Maziak



Żołnierz Kresów Wacław Kopisto ps. „Kra”

W wieku 82 lat zmarł 21 lutego br w Rzeszowie mjr Wacław Kopisto ps. „Kra” – żołnierz Września i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, cichociemny, oficer Kedywu Armii Krajowej, wieloletni więzień łagrów sowieckich.

Na uroczystość żałobną, która odbyła się 25 lutego br., przybyło duchowieństwo, kombatancki, przedstawiciele parlamentu, władz, wojska polskiego, organizacji i stowarzyszeń, młodzież i liczne rzesze mieszkańców Rzeszowa i regionu, wszyscy chcieli oddać hołd temu wielkiemu Polakowi.

Pożegnanie śp. Wacława Kopisty rozpoczęła żałobna Msza św. w kościele oo. Pijarów, którą koncelebrował ordynariusz diecezji rzeszowskiej ks. biskup Kazimierz Górny. Po mszy św. kondukt poprzedzony kompanią honorową WP udał się na cmentarz Wilkowyja. Tam nad otwartą mogiłą Wacława Kopisty ostatni rozkaz wojskowy odczytał szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Rzeszowie płk. Józef Mroczek: Minister Obrony Narodowej decyzją z 19.02.93 r. awansował pośmiertnie kpt. Wacława Kopistę na stopień majora Wojska Polskiego.

Pożegnalne mowy wygłosili następnie: wiceprezydent miasta Rzeszowa Józef Górny, cichociemny kpt. Bronisław Konik, ps. „Sikora”, prezes Zarządu Okręgu SZŻAK w Rzeszowie Eugeniusz Kaszowski, przedstawicielka Związków Sybiraków Zofia Zedania, prezes Oddziału TML i KPW Bolesław Opalek, senator RP dr Jan Draus i prof. Politechniki Rzeszowskiej Bolesław Fleszar.

Salwa honorowa i marsz żałobny zakończyły tę smutną uroczystość.

Wacław Kopisto urodził się 8.02.1911 r. w Józinie koło Starego Konstantynowa na dalekim Wołyniu, gdzie ojciec był zarządcą w majątkach Potockich. Tam spędził dzieciństwo i wczesną młodość. Na skutek niepokojów i zagrożenia, jakie zaistniało po powstaniu ZSRR (były to tereny poza granicami RP) w 1929 r. rodzina Kopistów uzyskała zgodę na wyjazd do Polski. Ojciec podjął pracę na Wołyniu – Wacław zamieszkał u rodziny w Łańcucie, gdzie w 1931 r. zdał maturę i we Lwowie rozpoczął studia w Wyższej Szkole Handlowej, które przerwał w latach 1934–1935, aby w tym czasie odbyć służbę wojskową i ukończyć szkołę podchorążych piechoty w Tarnopolu. Studia na Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie ukończył w 1936 r. i podjął pracę w ordynacji łańcuckiej. Powołany w czasie mobilizacji 1939 r. do służby wojskowej w 39 pp. przebywał na froncie południowym, po czym z jednostką wycofał się na Węgry. Tam został internowany w obozie Komaron (Belsofar). W lutym 1940 r. W. Kopisto podjął ucieczkę z obozu, przedostał się do Jugosławii, a stamtąd do Francji. Od kwietnia do czerwca 1940 r. pełnił służbę w formowanych do walki jednostkach polskich, które po upadku Francji ewakuowano do Anglii. W. Kopisto otrzymał skierowanie do obozów wojskowych w południowej Szkocji do III Brygady, a od lipca 1941 r. do IV Samodzielnej Brygady Spadochronowej, następnie po wyrażeniu zgody na przerzut do kraju, skierowany został na kursy dla cichociemnych. Od września 1941 r. do sierpnia 1942 r. przechodził intensywne szkolenie w różnych ośrodkach dla cichociemnych. W nocy z 1 na 2 września 1942 r. w sześcioposobowej grupie, którą dowodził kpt. Bolesław Kontrym ps. „Żmudzin”, zrzucony został na placówkę Rogi k. Grójca. Po zameldowaniu się w dowództwie AK otrzymał przydział do służby w „Wachlarzu”, z chwilowym wykorzystaniem do szkolenia patroli dywersyjnych w Warszawie. W styczniu 1943 r. skierowany został z grupą specjalną na III odcinek „Wachlarza” do Pińska, celem wykonania akcji uwolnienia więźniów z tamtejszego więzienia.

Przeprowadzona pod dowództwem por. Piwnika, ps. „Ponury”, brawurowa akcja spełniła nakreślone zadanie. Po powrocie do Warszawy W. Kopisto otrzymał przydział do Kedywu Okręgu Wołyn jako oficer dywersji (szef Kedywu) w Inspektoracie AK w Łucku. Prowadził tam akcje sabotażowe, szkolenia dywersyjne, współdziałał z walczącymi na tych terenach oddziałami partyzantskimi, z 27 Wołyńską Dywizją AK.

Po rozpoczęciu działalności banderowców pomagał w organizacji i dozbrojeniu samoobrony w Antonówce, Spaszczyźnie i Przebrażu. Z początkiem kwietnia 1944 r. po zajęciu Łucka przez wojska sowieckie, nastąpiły aresztowania przez KGB siatki konspiracyjnej, także kierownictwa Inspektoratu Rejonowego AK w Łucku.

Wacława Kopistę oraz pozostałe aresztowane osoby przewieziono do Kijowa, gdzie odbył się ich proces. Zapadły tam wyroki śmierci na szefa Inspektoratu AK Łuck por. Leopolda Ćwikło i por. Wacława Kopistę. Po czterech miesiącach oczekiwania na wykonanie wyroku karę zamieniono na 10-letnie ciężkie obozy. Wacława Kopistę przewożono z obozu do obozu – w Kaniowie, Kołtasie, Tajszie, trafił wreszcie na Kołymę, gdzie w wyjątkowo trudnych warunkach łagrów Magadanu przebywał cztery lata (1949–1953), po czym jeszcze 2 lata na zesłaniu. Z końcem 1955 r. wrócił do Polski, zamieszkał w Rzeszowie i tu podjął pracę w Centrali Mięsnej. Od 1977 r. przeszedł na emeryturę. Za działalność i bohaterstwo w służbie dla Polski odznaczony został Srebrnym Krzyżem Waleczności V kl., dwukrotnie Krzyżem Walecznych i innymi odznaczeniami bojowymi. W 1990 r. ukazała się drukiem napisana przez niego książka, pt. *Droga cichociemnego do łagrów Kołymy*. Wacław Kopisto był członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Rzeszowie, Związku Sybiraków, Honorowym Członkiem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddziału w Rzeszowie. Cześć Jego Pamięci!

Bolesław Opalek

PIEŚŃ O ORLĘTACH

tekst: Ryszard Marek Groński
muzyka: Włodzimierz Korcz

Nieważne, z kim walczyli.
Nieważne, kto dowodził.
Lecz to koledzy nasi,
Co pozostali młodzi,
I zawsze już mieć będą
Lat dziesięć, jedenaście.
Na płyty potraskane
Wiatr strąca liści garście.
Jest takie miasto, co zwie się: Lwów,
Znów wolno o nim dziś pamiętać.
Nocą we Lwowie
Srebrzysty nów
Oświeć cmentarz, gdzie Orleń.
Tam – lwowskie dzieci
w mogiłach śpią –
gimnazjaliści i batiary.
Na niebie – gwiazdy
Za zwienną mgłą
I płyną chmury jak sztandary.
Modlitwę ciszy zmów bez słów
Za cmentarz Orleń
I za Lwów ...

ERRATA

Przepraszamy p. Z.J. Zielińskiego za niepełne podanie jego nazwiska oraz brak zdjęcia pomnika Rafała Maszkowskiego w artykule pr. „Ród Maszkowski” w numerze 1/14/93.

Wkradł się również błąd merytoryczny pod zdjęciem przedstawiającym gmach Sejmu Galicyjskiego, który był później siedzibą Uniwersytetu im. Króla Jana Kazimierza we Lwowie (s. 17 w tym samym numerze).

Również na str. 36 zamiast nazwiska Suchogorski winno być: Długoborski.

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy czasopisma „Semper Fidelis”!

30 kwietnia 1991 r. przedsiębiorstwo „Presstrust” we Wrocławiu ze względu na wysokie koszty poligraficzne przestało ostatecznie wydawać nasze pismo, którego kolegium redakcyjne składało się z członków TML z Wrocławia, Krakowa i Warszawy. Jediną możliwością dalszego wydawania pisma było, jak sądziliśmy, powołanie Fundacji. Oświadczenie o ustanowieniu Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” potwierdzone zostało aktem notarialnym już 4 lutego 1991 r. w Państwowym Biurze Notarialnym we Wrocławiu, natomiast rejestracja Fundacji, stanowiąca prawną i oficjalną podstawę jej działania, miała miejsce dopiero dnia 14 kwietnia 1992 r. i dokonana została przez Sąd Rejestrowy dla m. stoł. Warszawy, Wydz. XVI Gospodarczo-Rejestrowy.

Pismo zostało zatem uratowane głównie tylko dzięki Wam drodzy Czytelnicy, którzy wspomagaliście bez przerwy nasz prywatny fundusz założycielski, a wśród ofiarodawców znaleźli się też tacy oddani sprawie ludzie, którzy nie bacząc na niskie emerytury wpłacali regularnie pieniądze. Chcąc powiększyć ten fundusz zwracaliśmy się o dotację m.in. do Ministerstwa Kultury, ale nie uzyskaliśmy niczego.

Do czasu rejestracji Fundacji wpłaty mogły być dokonywane wyłącznie na konto Zarządu Głównego TML. Przesyłane prze Was pieniądze wydatkowane były **tylko na cele druku**, a kolegium redakcyjne pracowało (i pracuje) społecznie. Księgowość związana z wydawaniem pisma prowadzona była w Zarządzie Głównym TML aż do czasu przekazania pieniędzy na konto zarejestrowanej już Fundacji i do tego momentu Zarząd Główny wydał 5 numerów pisma (nr 2-4/91 oraz nr 1-2/92). Przyjęcie prac techniczno-redakcyjnych przez Zarząd i Biuro Fundacji, znaczne w międzyczasie podrożenie kosztów druku oraz rosnące zaległości za wysłane do Oddziałów i Klubów TML egzemplarze pisma spowodowało, że wydano 3 jego numery (nr 3-4/92 oraz nr 1/93).

W dniu 6 sierpnia br. Rada Fundatorów dokonała nowego wyboru Zarządu Fundacji, do której weszli członkowie Zarządu Głównego TML i KPW – Danuta Tabińska-Juhasz, Zuzanna Bakulińska oraz kierownik Biura ZG Janina Barska-Tomala. Nowo wybrany Zarząd Fundacji traktuje regularne wydawanie czasopisma jako swoje wiodące zadanie i pragnie zorganizować prenumeratę pisma. W związku z tym prosi chętnych o zgłoszenia na nowy adres Fundacji – Wrocław Rynek/Ratusz 7/9. Warunki prenumeraty podamy w następnym numerze. Informujemy również, że posiadamy archiwalne numery *Semper Fidelis*, oraz całe opracione roczniki, które na zamówienie będziemy wysyłać za zaliczeniem pocztowym plus koszt przesyłki. Koszt pojedynczego numeru wynosi 10 tys. zł.

Jednocześnie zwracamy się z gorącym apelem do wszystkich Oddziałów i Klubów o jak najszybsze uregulowanie należności za pobrane numery *Semper Fidelis*. Wobec stale wzrastających kosztów druku oraz tychże zaległości istnieje groźba, że nie będzie pełnego pokrycia na wydanie następnych numerów. Mamy nadzieję, że nasi Czytelnicy podejną z życzliwością do naszej trudnej sytuacji materialnej i zechcą pomóc w utrzymaniu pisma.

Przepraszamy za brak listy Ofiarodawców w bieżącym numerze, której nie otrzymaliśmy od ustępującego Zarządu Fundacji. Wykaz ten mamy otrzymać w terminie późniejszym.

Rada Fundatorów
Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”

FUNDACJA KRESOWA

„SEMPER FIDELIS”

Fundacja została powołana w grudniu 1990 roku we Wrocławiu. Celem Fundacji jest:

- *ochrona dziedzictwa historycznego i kulturalnego Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *wszechstronna pomoc społeczności polskiej zamieszkującej Kresy,*
- *szerzenie prawdy historycznej o roli i znaczeniu Kresów Wschodnich w dziejach narodu polskiego.*

Cele te Fundacja zamierza realizować poprzez:

- *gromadzenie i efektywne wykorzystanie środków finansowych i rzeczowych otrzymywanych z kraju i zagranicy,*
- *działalność wydawniczą – kontynuowanie wydawania pisma Lwowian i Kresowian „Semper Fidelis” oraz innych wydawnictw związanych z szeroko pojętą tematyką kresową,*
- *organizowanie kolonii, obozów, zimowisk dla dzieci rodzin polskich w Ojczyźnie, pobytów leczniczych i sanatoryjnych dla najbardziej potrzebujących,*
- *fundowanie stypendiów dla uczniów i studentów,*
- *wspieranie inicjatyw zmierzających do ratowania i ochrony pamiątek przeszłości tych ziem,*
- *współpracę z innymi organizacjami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się dawnymi i najnowszymi dziejami Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *popieranie działalności popularyzatorskiej i naukowej odnoszących się do tego regionu.*

Fundacja przygotowana jest, przy dodatkowym wsparciu finansowym, do prowadzenia wszelkiej działalności przedstawicielskiej, wytwórczej, handlowej, turystycznej i artystycznej.

Każdy dar pieniężny lub rzeczowy przyczyni się do ocalenia polskiego dziedzictwa kulturowego, pomocy dla ludzi jej potrzebujących, wsparcia duchowego i materialnego Polaków obecnie zamieszkujących na Kresach.

Prosimy o powiadomienie swoich krewnych, przyjaciół, znajomych i klientów o istnieniu i działalności Fundacji. Będziemy wdzięczni za każdy, nawet najskromniejszy datek.

Uprzejmie informujemy, że zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi – z podstawy opodatkowania odlicza się kwotę dotacji przekazanych na działalność Fundacji.

Nasze konto:

PKO IV/O Wrocław 93549-99192-132.

Wrocław, Rynek Ratusz 7/9. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”.